

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie 5 kor. Półrocznie 10 kor. Rocznie 20 kor. — **Do Niemiec:** Kwartalnie 5 kor. 65 hal. Półrocznie 11 kor. 30 hal. Rocznie 22 kor. 60 hal., z przesyłką pocztową. — **W Ameryce:** Kwartalnie 6 kor. 30 hal. Półrocznie 12 kor. 60 hal. Rocznie 25 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 40 halerzy — 20 kop. — 40 fen.

Rok XIII. | **Kraków, 11 listopada 1916.** | **Nr. 46.**

Wskrzeszenie państwa polskiego.



Widok na Warszawę od strony Wisły. Na prawo Zamek królewski, w którym dnia 5. listopada proklamowano niepodległe Królestwo Polskie.

Wskrzeszenie państwa polskiego.

Wybiła wreszcie godzina, o której śniły minione pokolenia! Nastała chwila tak dawno z utęsknieniem oczekiwana! Niepodległa Polska – wskrzeszenie państwa polskiego – oto magiczne słowa, które były gwiazdą przewodnią w naszych dziejach porozbiorowych. To hasło, z którem szli do boju polscy bohaterowie i ginęli na szubienicach polscy męczennicy... I ono powiodło na krwawe pola obecnej najstraszniejszej w dziejach wojny – Legiony polskie!

I oto dziś wymazana z karty Europy, rozdarta i podzielona Polska zmartwychwstaje! W ogniu zawieruchy światowej pękają jej kajdany! Daremnie usiłowano wtłoczyć Ją do grobu, daremnie dyplomacya europejska przywaliła sprawę polską głazem milczenia. Uniósł go z nad grobu politycznego kataklizm dziejowy i niema już dziś siły, któraby mogła go wtłoczyć na dawne miejsce... Gwarancyą są właśnie słowa Dostojnych Monarchów, ogłoszone uroczyście w Lublinie i na Zamku Królewskim w Warszawie.

Jakkolwiek odbudowa niepodległego państwa polskiego ma nastąpić dopiero po wojnie – bo pokój dopiero może ustalić podwaliny nowego współżycia narodów w Europie – dzień 5. listopada 1916 r. pozostanie na zawsze pamiętny w dziejach narodu polskiego. W dniu tym bowiem cała Europa, która przez tyle lat opierała swą równowagę na grobie Polski i patrzyła spokojnie na Jej męki – dowiedziała się, że ta Polska nie tylko żyje – bo żyła zawsze, w najcięższych chwilach niewoli – ale że ta Polska będzie i musi być czynnikiem politycznym, gdy przyjdzie do likwidacyi obecnej wojny. Pokój po tak strasznej, jak obecna, wojnie musi być trwałym – a nie może być trwałego pokoju bez – wolnej i niepodległej Polski! To konieczność dziejowa, którą obwieściły już nam monarsze słowa.

Proklamowanie niepodległego Królestwa Polskiego.

Ogłoszona dnia 5. listopada w Lublinie proklamacya brzmi jak następuje:

„Jego Cesarska Mość cesarz Austryi i apostolski król Węgier i Jego Cesarska Mość cesarz Niemiec, przejęci silną wiarą w ostateczne zwycięstwo ich broni, ożywieni pragnieniem, by obszarom polskim, które ich waleczne wojska wśród ciężkich ofiar wyrwały z pod panowania rosyjskiego, otworzyć szczęśliwą przyszłość, ułożyły się, by z tych obszarów utworzyć samoistne państwo z dziedziczną monarchią i konstytucyjną formą rządu. Ściślejsze ustalenie granic Królestwa Polskiego pozostaje zastrzeżonem.

W przyłączeniu się do obu sprzymierzonych mocarstw nowe królestwo znajdzie rękojmie, których potrzebuje dla swobodnego rozwoju swych sił. W własnej armii żyć mają nadal sławne tradycye wojsk polskich dawnych czasów i pamięć o tych walecznych Polakach, którzy w ostatniej wielkiej wojnie brali udział. Organizacya, wyszkolenie i kierownictwo tej armii uregulowane będą we wspólnem porozumieniu.

Sprzymierzeni monarchowie żywią niezłomną nadzieję, że życzenia co do państwowego i narodowego rozwoju Królestwa Polskiego odtąd spełnią się przy wskazanem uwzględnieniu ogólno politycznych stosunków Europy, jakoteż przy uwzględnieniu pomyślności i bezpieczeństwa ich własnych krajów i ludów.

Wielkie zaś mocarstwa, które od zachodu z Królestwem Polskiem sąsiadują, z radością patrzeć będą, jak na ich granicy wschodniej powstaje i rozkwita nowe państwo, wolne, szczęśliwe i cieszące się ze swego życia narodowego.

Z Najwyższego rozkazu Jego cesarskiej Mości cesarza Austryi i apostolskiego króla Węgier

Jeneral-Gubernator podp. Kuk".

Proklamacya zupełnie analogiczna w tym samym dniu ogłoszoną została w Warszawie.

Wyodrębnienie Galicyi.

Jednocześnie z proklamacyą niepodległego Królestwa Polskiego „Wiener Zeitung" ogłosiła następujące cesarskie najwyższe pismo odręczne:

Kochany drze Koerber!

W myśl układu, jaki stanął między Mną a Jego cesarską Mością cesarzem Niemiec, będzie z obszarów Polski, wyzwolonych przez nasze waleczne wojska z pod panowania Rosyi, utworzone samoistne państwo z dziedziczną monarchią i konstytucyjną formą rządu.

Przy tej sposobności myślę z wzruszonem sercem o wielu dowodach oddania się i wierności, jakich w ciągu Moich rządów od kraju Galicyi doznałem, jakoteż o wielu wielkich i ciężkich ofiarach, które kraj ten, wystawiony na najgwałtowniejszy napór nieprzyjaciela, w obecnej wojnie w interesie zwycięskiej obrony wschodnich granic monarchii ponieść musiał i które mu zapewniają trwały tytuł do Mojej najgorętszej ojcowskiej opieki.

Jest zatem Moją wolą, w chwili, kiedy nowe państwo powstaje, równolegle z tym rozwojem rzeczy także krajowi Galicyi nadać prawo samodzielnego urządzenia swoich praw krajowych, aż do pełnej miary tego, co z jego przynależności do całości państwa i z jej pomyślnością się zgadza, dać przez to ludności Galicyi rękojmię jej narodowego i gospodarczego rozwoju.

Podając Panu ten Mój zamiar do wiadomości, polecam Panu, ażebyś celem jego ustawowego urzeczywistnienia wypracował i przedłożył Mnie odpowiednie wnioski.

Wiedeń, dnia 4 listopada 1916.

Franciszek Józef mp. **Koerber** mp.

Deputacya warszawska w Wiedniu i Berlinie.

Proklamowanie niepodległego państwa polskiego poprzedził przyjazd deputacyi warszawskiej do Berlina i Wiednia, celem przedstawienia życzeń narodu polskiego. O przyjęciu, jakiego doznała deputacya zarówno w Wiedniu, jak i w Berlinie, „Politische Korrespondenz" podaje następującą relacyę:

„W poniedziałek dnia 30. października minister spraw zagranicznych baron Burian przyjął deputacyę polskich osobistości, która z Warszawy przez Berlin tu przybyła, a składała się z rektora uniwersytetu warszawskiego i prezydenta warszawskiej Rady gminnej dra Józefa Brudzińskiego, burmistrza Warszawy inżyniera Zygmunta Chmielewskiego, przedstawiciela gminy żydowskiej profesora uniwersytetu Dicksteina, przedstawiciela Głównego Wydziału Pomocy Stanisława Dzierżbickiego, byłego posła do Dumy Michała Łempickiego, księcia Franciszka Radziwiła, komendanta milicyi warszawskiej i hr. Adama Ronikiera, prezydenta komitetu wykonawczego Głównej Rady Opiekuńczej.

Imieniem deputacyi wygłosił rektor Brudziński mowę, w której wyraził szereg życzeń narodu polskiego, kulminujących w utworzeniu państwa polskiego.

Na tę przemowę odpowiedział baron Burian:

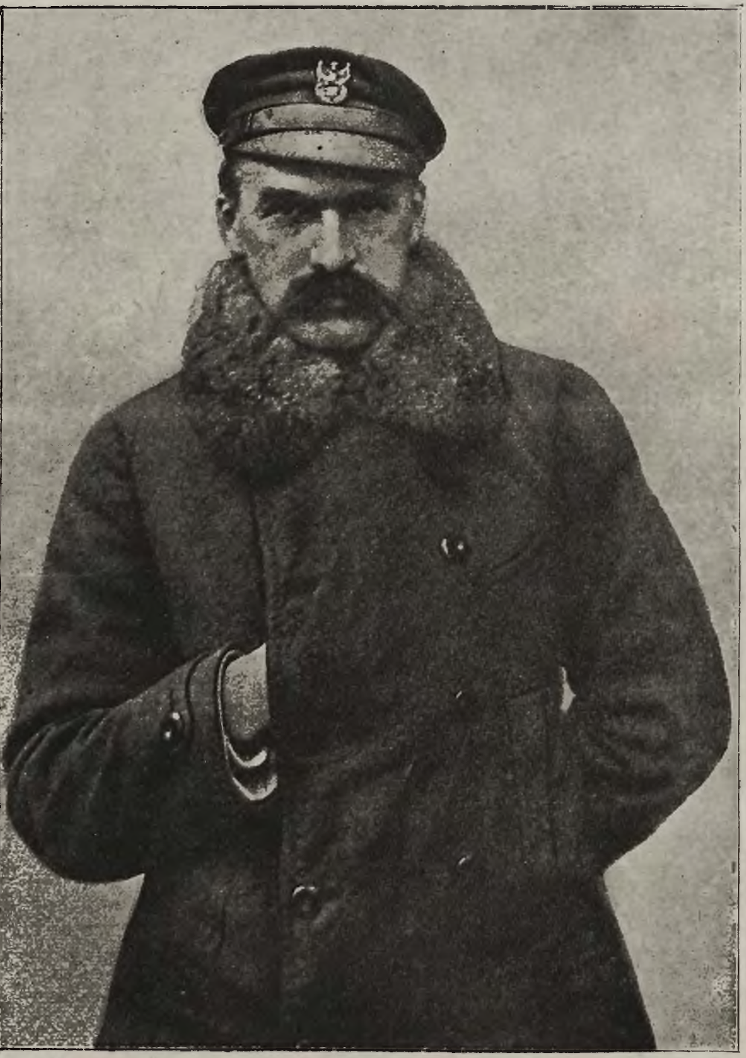
„Żywe zadowolenie sprawia mi powitać tu Was, czcigodni Panowie i módz Was zawiadomić, że Jego Cesarska Mość, mój najmiłościwszy Pan i Jego dostojny sprzymierzeniec, Jego Cesarska Mość, cesarz Niemiec, postanowili państwo polskie ponownie powołać do życia.

Przyszłe Królestwo Polskie będzie mogło, rozumie się, dopiero po zawarciu pokoju rozpocząć swoją pełną egzystencyę państwową, a w ścisłym związku z obu mocarstwami centralnemi będzie mogło znaleźć zarówno pod względem politycznym, jak i wojskowym gwarancye swego istnienia.

Wyraziliście Panowie w swoim memoryale szereg życzeń, do których obecnie nie można jeszcze przystąpić. Możecie jednak być pewni, że w porozumieniu z naszymi sprzymierzeńcami niemieckimi starać się będę w czasie właściwym uczynić zadość Waszym życzeniom wedle możności.

Także dotychczas już wielokrotnie dawaliśmy dowód naszego żywego i czynnego zainteresowania dla Polski i pracowaliśmy już przedtem nad utworzeniem polskiego państwa.

Nie możemy jednak ustać w walce ani w pracy, Miejcie pełne zaufanie do nas, złóżcie Wasz los z ufnością w ręce mocarstw sprzymierzonych i współdziałajcie wszystkiemi Waszemi duchowemi i materyalnemi siłami w urzeczywistniu postanowionego przez Austro-Węgry i Niemcy historycznego czynu: Odbudowania wolnego, niepodległego Królestwa Polskiego".



Wskrzeszenie państwa polskiego: Józef Piłsudski.

Polscy goście spędzili po ich oficyalnem przyjęciu jeszcze dłuższy czas w ministerstwie spraw zagranicznych w ożywionej rozmowie z bar. Burianem i z przybyłymi wraz z nim na przyjęcie ambasadorami bar. von Macchio, Mereyem, hr. Forgachem, posłami: Ugronem i bar. Hönning, radcą dworu Montlong i radcą legacyjnym hr. Hoyosem. Odjechali oni następnego dnia z powrotem do Warszawy.

Niepodobna dziś jeszcze ocenić należycie wszystkich czynników, które po dwóch z górą latach wojny, po tylu ofiarach poniesionych przez naród polski, zadecydowały wreszcie rozstrzygnięcie sprawy polskiej. Jaką rolę tu odegrał nasz zbrojny czyn i jego krwawa ofiara — Legiony polskie, czuje i rozumie każdy. Niepodobna pominąć tu jednakże tej siły żywotnej i tej męskiej trzeźwości politycznej, jaką społeczeństwo polskie przy gorącem umiłowaniu Ojczyzny ujawniło w Królestwie Polskiem, a w szczególności w Warszawie. Uznały to i wiedeńskie koła oficyalne, co znalazło właśnie wyraz w przyjęciu i ocenie postulatów, przedstawionych przez deputacyę warszawską w Berlinie i w Wiedniu. Zaznacza to także półoficyalny „Fremden-Blatt", który omawiając wskrzeszenie niepodległego państwa polskiego, pisze we wstępnym artykule:

„Proklamacya obu sprzymierzonych monarchów jest aktem o znaczeniu historycznem dla całej Europy. Proklamacya stwarza nowe życie na gruzach absolutyzmu rosyjskiego. Wskrzeszenie Polski jest dziełem nie tych mocarstw, które rzekomo walczą o prawa małych narodów, lecz dziełem sprzymierzonych mocarstw centralnych. Broń austro-węgierska i niemiecka oswobodziły Polskę, panslawizm otwarcie pragnął zniszczenia Polski. Ale gdyby nawet tego nie pragnął i gdyby zamiast panslawizmu górę wziął neoslawizm, który siebie i innych chciał oszukać, pozostanie Polski w państwie rosyjskiem bezwarunkowo doprowadzićby musiało do upadku narodowego Polaków, gdyż rzeczywiste porozumienie między Polakami a Rosyą jest rzeczą niemożliwą.

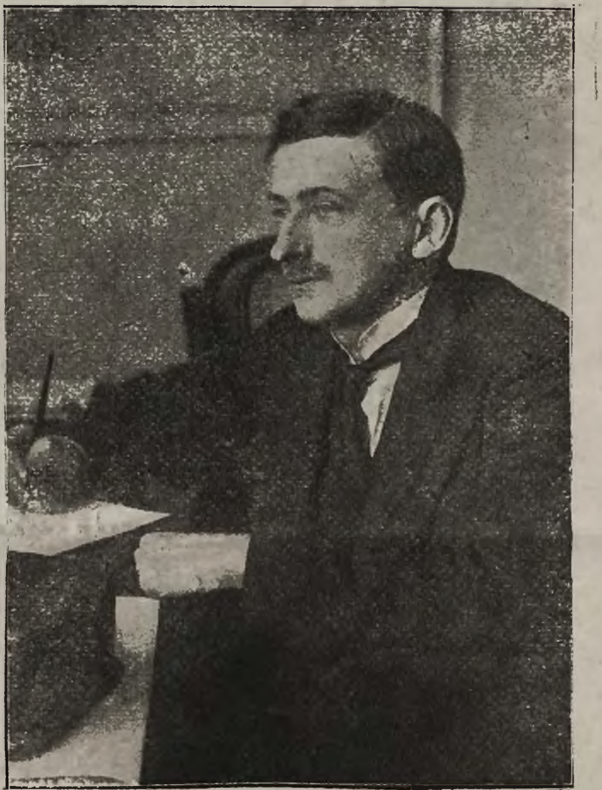
Wyzwolenie Polaków z pod Rosyi jest wyswobodzeniem z śmiertelnej niewoli. W tem, że przepotężna Rosya byłaby niebezpieczeństwem, zagrażającem także życiu nowej Polski, wyznaczona jest niedwuznacznie droga dla nowej Polski.

Polska przyłączyć się musi do mocarstw centralnych, które ją wyswobodziły i które jedynie mogą w szachu utrzymać Rosyę i odeprzeć jej zamachy. Polska posiadać będzie własne wojsko, a w razie niebezpieczeństwa, z tem samem bohaterstwem, jakie objawiło się u polskich pułków naszej monarchii i u Legionów polskich, wsparta na mocarstwach centralnych, zdoła zwycięsko się obronić.

Dla mocarstw centralnych zaś jest rzeczą nader cenną, że zmienione zostały ich granice przez powstanie na wschodzie nowej Polski. Dla Rosyi Polska nie była tem, czem była Galicya i Bukowina dla nas, a Śląsk, Poznań, Prusy Wschodnie i Zachodnie dla Niemiec.



Deputacya warszawska w Wiedniu i Berlinie: Dr. Józef Brudziński, prezydent warszawskiej Rady miejskiej



Deputacya warszawska w Wiedniu i Berlinie: Inż. Zygmunt Chmielewski, burmistrz m. Warszawy.

tak, że gdy nadejdzie pokój, będziemy mogli spokojnie pod pomyślnemi auspicyami oddać Wam wyzwolone państwo.

Chcemy Polskę z pod jarzma rosyjskiego ostatecznie wyzwolić i liczymy przytem także na Waszą czynną współpomoc.

Jak się dowiadujemy, pojawiła się ta sama polska deputacya dnia 28. października u kanclerza Rzeszy Bethmanna Hollwega, gdzie przyjęto ją w podobny sposób, jak w Wiedniu."

* * *

Słusznie więc deputacya polska, która zjawiła się niedawno u austro-węgierskiego ministra spraw zagranicznych i niemieckiego kanclerza państwa dla wyrażenia życzeń narodu polskiego, wskazała na to, że wskrzeszenie niezawisłego państwa polskiego oprze pokój Europy na sprawiedliwej podstawie i że inte-

resy Polski harmonizują z interesami mocarstw centralnych.

Zycie narodu polskiego zawisłe jest od miary sił Austro-Węgier i państwa niemieckiego, a siła obu mocarstw centralnych wzrasta wskutek egzystencyi samodzielnego i zdrowego państwa".

„Fremden-Blatt" zaznacza w końcu, że wykonanie całkowitego planu możliwe jest dopiero po zawarciu pokoju. Dzieło umożliwione przez wojnę może być wykończone dopiero przez pokój. Lecz przygotowania są już teraz czynione. „Sympatya — powiada w końcu ten dziennik — dla Polaków była w Austryi i na Węgrzech tradycyjną, a Polacy, którzy w naszej monarchii znaleźli przytułek dla swego życia narodowego, którzy mogli swobodnie i w pełni rozwijać się pod ochroną naszego monarchy, przez swoje gorące przywiązanie do naszego związku państwowego i przez swoją kulturalną łączność z mieszkańcami nowego państwa, stanowić będą łącznik między nami a nimi, i przez to wzmocnią jeszcze bardziej naturalne wspólności interesów.

W dniu, w którym zapowiedziana Polska stanie się faktem, wszystkie ludy monarchii, które walczyły wspólnie na polach walki, z których Polska powstała, złożą jej jako dar chrzestny swoją serdeczną przyjaźń".



Deputacya warszawska w Wiedniu i Berlinie:
Adam hr. Ronikier.



Deputacya warszawska w Wiedniu i Berlinie:
Stanisław Dzierzbicki.



Deputacya warszawska w Wiedniu i Berlinie:
Prof. Samuel Dickstein.

Szkoła inwalidów wojennych w Krakowie.

Tocząca się obecnie wojna pociągnęła za sobą tysiące ofiar. Nad tymi, którzy padli śmiercią bohaterską na polu chwały, przeszliśmy już do porządku dziennego, nazwiska ich zapisała historya na wieczną pamiątkę tych gigantycznych zmagań, jakich byliśmy świadkami.

Ale oprócz tych, którzy snem wiecznym zasnęli, pozostało także tysiące kalek i nimi należało się zająć, aby nie byli ciężarem społeczeństwa, lecz pożytecznymi jego członkami. Tego zadania podjął się Komitet opieki wojennej, złożony z przedstawicieli sfer wojskowych i ludności cywilnej i zorganizował w miarę i możności cały szereg praktycznych kursów dla inwalidów wojskowych tak inteligentnych, jak i ze sfer mniej inteligentnych.

Tego rodzaju praktyczne kursy dla inwalidów wojennych założono też w Krakowie dzięki zabiegom jednostek o dobrej woli i poczuciu obywatelskich obowiązków. Zanim poświęcimy im dłuższy artykuł, illustrujący dokładnie błogosławioną działalność Komitetu, w niniejszym numerze pomieszczamy reprodukcye fotografii, przedstawiających poszczególne sceny z życia kursistów. Ci, o którychby się sądziło, że niezdolni są już do dalszej pracy zawodowej, pod światłem kierownictwem fachowych nauczycieli kształcą się w najrozmaitszych zawodach, a garną się do nauki z takim zapałem, że mógłby im go pozazdrościć niejeden młodszy i zupełnie zdrowy.



Szkoła inwalidów wojennych w Krakowie: Kurs sklepikarski.

Adam Wiaryga Minieski.

Poza frontem

(Powieść z dni ostatnich).

6

— No mów, Helu, o co chodzi?

— Widzisz, miałam przed kilku dniami ciekawą przygodę... to jest właściwie źle się wyraziłam... nie było w tem nic ciekawego i szczególnego... ale ot tak jakoś...

— No, bez wstępów i omówień, Helka, gadaj co to było, gdzie i jak?

— To było tak... Miałam przykre przejście z matką, które mnie silnie zdenerwowało. Wybiegłam więc wieczorem z domu. Chciałam iść na Błonia, żeby się uspokoić, no i przyznam ci się, żeby się wypłakać trochę. Od ulicy Wolskiej zaczął iść za mną jakiś młody wojskowy. Szedł krok w krok, ale nie mówił nic. Ty wiesz, jak nie znoszę wszelkich zaczepek.

Opowiedziała Witowtównie swoją rozmowę z nieznajomym i zakończyła jakoś niepewnie:

— Doprawdy, nie wiem sama, dlaczego pamiętam o tem dotychczas i opowiadam ci. Toż to przecie głupstwo niewarte wspomnienia. A jednak... wiesz w głosie tego człowieka było coś dziwnego — a ma głos bardzo sympatyczny — kiedy mówił: „to nie ja jestem winien, ale pani cudne, cudne oczy“... Nie lubię ja komplementów wogóle, a tem mniej zbieranych na ulicy od nieznajomych, ale to nie był zwykły, banalny komplement. O! nie..

— Aha! „Umarłe“ serce zmartwychwstaje — pomyślała Kornelia, a głośno zapytała:

— Jakże wyglądał ten twój piękny nieznajomy? Bo jak przystało na bohatera romantycznej przygody powinien być pięknym...

— Jak wyglądał?... Zaraz ci powiem. Zapamiętałam go sobie dobrze. Oczy ma bardzo ładne, niebieskie — takie jakieś śmiałe, szczere, serdeczne... Wąs ciemno blond po angielsku przystrzyżony. Wysoki jest, trzyma się prosto, jak zwykle żołnierz... Ranny jest w prawą rękę, ma ją na temblaku. Ale wiesz co? Mnie się zdaje, że ja go raz już widziałam na ulicy i to właśnie z tobą!

W piersi Witowtówny szarpnęło się coś.

— Być może... nie wiem... nie pamiętam... nie przypominam sobie, ktoby to mógł być taki? — odrzuciła pospiesznie.

To on dlatego pytał o nią!

— Kiedyż odjeżdżasz na wieś? — zapytała Kornelia szybko, trochę gorączkowo.

— Prawdopodobnie jeszcze w tym tygodniu pojadę do Zalesinek, bo tak się ta wieś nazywa. — Chciałabym jak najprędzej. Odwiedzisz mnie, Kornelko, dobrze? Tam podobno ładna okolica, duże lasy... Przyjedziesz?

— Chętnie, jeżeli tylko znajdę dzień wolny.

ROZDZIAŁ V.

— Mamusiu, czy Ludwik śpi jeszcze?

— Tak, moje dziecko. Proszę cię, Janiu, nie stukaj naczyniami, bo go obudzisz!

— Ależ to już dziesiąta! — rzuciła niecierpliwie Janka, szesnastoletnia dziewczyna, nad wiek wybujała — Kiedyż on nareszcie wstanie? Spi i śpi, a śniadanie czeka!

— To cóż z tego — odparła pani Rażycka — Ludwiś jest ranny, osłabiony, trzeba mu dużo snu i wypoczynku.

— Ładnie on wypoczywa, przed dwunastą w nocy nigdy go niema w domu. Nic dziwnego, że później śpi do południa, ale żeby mu to jego „werdebowanie“ posłużyło na zdrowiu, to wątpię... Mnie się zdaje, że on tutaj w Krakowie zamiast się pokrzepić, to zmizerniał.

Pani Rażycka westchnęła.

— Ach, to ci koledzy go tak ciągną — ten Staś Herwicz...

— E! Niby to Ludwik dziecko, on sam drogę znajdzie...

— Janko! — zgromiła ją surowym tonem matka — Cóż to znowu za krytyka starszego brata!

— Mówię tylko prawdę, mamusiu.

Janka Rażycka z pozoru przedstawiała skończony typ podlotka, wybujałego nagle w górę, płaskiego, niezgrabnego, o długich, chudych nogach, niewyraźnej cerze i nieukształtowanych jeszcze rysach twarzy.

Czy w przyszłości dziewczę-poczwarka rozwinie się w ładną kobietę, trudno było na razie określić, pomimo uderzającego kontrastu bujnych jasno-złocistych włosów i pięknych czarnych oczu, tryskających żywą inteligencyą.

Ta ściągła, chuda twarz dziewczęcia musiała jednak zwrócić uwagę każdego bacznego obserwatora swoim wyrazem wielkiej energii i jakiejś przedwczesnej dojrzałości duchowej.

W spojrzeniu, w głosie, nawet w szorstkich ruchach swoich miała Janka coś, co wskazywało, że poziomem umysłowym przerasta swoje rówieśnice.

Matkę raziła nieraz jej szorstkość i bezwzględność w wypowiadaniu swego zdania, niemniej jednak czuła się dumną z tego intelligentnego, pracowitego dziecka i duszy kryształowo czystej, a zapalającej się do wszystkiego, co szlachetne i dobre.

Wojna silnie oddziałała na Jankę. Pod wpływem zewnętrznych wypadków, nieszczęść i przewrotów wrażliwa dusza dziewczęcia rozwijała się i dojrzewała szybko.

Janka wyrabiała sobie swoje, samoistne nowe poglądy, które wypowiadała przy każdej nadarzającej się sposobności z rażącą nieraz bezwzględnością i surowością i które przeprowadzać chciała w życiu z tą nieustępliwością, z tym burzliwym zapałem pierwszej młodości, która kompromisów żadnych nie zna i znać nie chce.

Janka od najmłodszych lat zdradzała charakter silny i stanowczy, a z wiekiem rozwijało się w niej to i potęgowało. Dziewczę coraz mocniej objawiało silną wolę, która toruje sobie własne drogi i niemi kroczy.

Na tem tle pomiędzy Janką a matką przychodziło kiedy niekiedy do pierwszych starć, które się kończyły zwykle tem, że córka przeprowadzała swój plan — poprzednio zawsze logicznie i konsekwetnie we wszelkich szczegółach obmyślany.

Już podczas wojny Janka sama bez niczyjej pomocy, usilnie pracując po nocach, przygotowała się do egzaminu z łaciny, greki i matematyki, poczem oświadczyła matce, że chce zapisać się do gimnazyum.

Pani Rażycka, która miała swoje, nieco staroświeckie zapatrywania na wykształcenie i wychowanie kobiet, usiłowała sprzeciwić się temu.

— To nie dla ciebie, Janiu! — powiedziała.

— Dlaczego, mamusiu? — zapytała spokojnie i poważnie dziewczyna — Przecież Ludwik przynosił nieraz do domu „dwóje“, opuszczał lekcye, wykręcał się, wykłamywał, a jednak posyłano go do gimnazyum i nawet płacono mu korepetytora. A ja, mamusiu, chcę się uczyć i będę pracować pilnie i wytrwam, zobaczy mama.

— Ach, moje dziecko! Widzisz, to zupełnie co innego. Ludwiś jest chłopcem... Nie wszystko, co czyni i czynić może mężczyzna, przystoi kobiecie.

— Zgoda, mamusiu, ja to rozumiem i gdybym ja chciała tak jak mój brat palić papierosy, pić piwo i wódkę, grać w bilard, urządzać profesorom awantury, śpiewać serenady pod oknami, wymykać się na „werdeby“ — toby mi mamusia słusznie powiedzieć mogła, że to kobiecie nie przystoi, ale jeżeli ja chcę pracować i uczyć się, to cóż w tem złego?

Na to nie było odpowiedzi. Janka postawiła na swojem. I podobnie bywało w wielu innych wypadkach. Matka ustępować musiała przed logiczną argumentacyą młodziutkiej córki, która jednak dobrze wiedziała zawsze, czego chce i do czego dąży.

Córka zwyciężała, nie wychodząc jednak nigdy z granic należnego matce uszanowania. Te rozbieżne poglądy i drobne starcia nie psuły jednakowoż harmonii pomiędzy Janką a matką.

Pani Rażycka należała do tego typu kobiet, o których pewien psycholog francuski powiedział, że są to „geniusze uczucia“.

W jednym tylko wypadku szorstka otwartość Janki raziła panią Rażycką boleśnie, kiedy chodziło o Ludwika.

Matka musiała często przyznać sama przed sobą, że surowe sądy siostry o Ludwiku nie są pozbawione pewnej, a czasem nawet wielkiej dozy słuszności, niemniej jednak nie chciała, aby ktokolwiek, choćby nawet Janka, krytykował ukochanego jej syna.

Dlatego też i teraz, kiedy córka na jej uwagę spokojnie odpowiedziała: „mówię tylko prawdę“, zapanowała chwila ciężkiego, przykrego milczenia.

— Wie mamusia co? — podjęła znowu rozmowę Janka, ale daleko łagodniejszym już tonem — Ja myślę, że to byłoby dobrze, gdyby Ludwiś pojechał na kilka tygodni na wieś na przykład do Zalesinek. Przecież Anielka już go dwa razy bardzo serdecznie zapraszała.

Pani Rażycka podniosła żywo głowę. Zapomniała już o poprzedniej przykrości.

— Wiesz, Janiu, że to myśl, nad którą warto się zastanowić. Swieże powietrze, wiejskie mleko, spokój, toby mogło istotnie doskonale oddziałać na zdrowie i nerwy Ludwika.

— A towarzystwo dwojga takich ludzi, jak Anielka i jej mąż — to nic nie znaczy?

— Naturalnie, naturalnie masz racyę. Tylko smutno byłoby rozstawać się nam z nim.

— Jeżeli to potrzebne dla jego dobra, mamusiu?

— Słusznie mówisz, Janiu — jego dobro rzecz pierwsza. Tylko czy on zgodzi się na ten projekt, czy zechce wyjechać?

— O to musimy już zapytać jego samego. Ale doprawdy on mógłby już wstać. Ja go chyba pójdę obudzić.

— Zbyteczne, Janiu — ozwał się nagle we drzwiach głos Ludwika — bo oto już wstałem i jestem, niecierpliwa panno siostro. Dzień dobry, mateczko!

— Janiu, kawa dla Ludwisia, prędko kawa!

Na stole, nakrytym białym obrusem, pojawiły się wszelkie przysmaki, na jakie zdobyć się można w mieście przy „wojennem śniadaniu“.

— Jedz, Ludwisiu, jedz! — zachęcała syna pani Rażycka.

Ludwik nie zabierał się jakoś do jedzenia. Kawę mieszał długo łyżeczką; kawałek specyalnie dla niego pieczonego ciasta podniósł do ust i położył znowu, nie ugryzł ni kęsa.

Przez czas swojego pobytu w Krakowie Ludwik zmienił się i zmizerniał. Ranna ręka goiła się wprawdzie dobrze, ale cera młodzieńcza straciła swoją czerstwość i ogorzałość, a przybrała jakiś żółtawy odcień.

Oczy miał podkrążone ciemnemi obwódkami, a źrenice jakby zmętniałe, a w całej postaci jego malowało się znużenie.

— Dlaczego nie jesz? — nalegała matka — Kawa wystygnie... Czy ci nie smakuje, może śmietanka niedobra? Ach! Gdybyś wiedział, jak teraz trudno nawet za drogie pieniądze dostać coś porządnego.

— Nie, mamo, dziękuję, kawa doskonała, tylko ja jakoś dzisiaj nie mam apetytutu.

Janka wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się znacząco. Pani Rażycka westchnęła mimowolnie.

W tej chwili drzwi otwarły się i ukazała się w nich służąca, w obu rękach dźwigając otulony w różowe bibułki wazon, z olbrzymią śnieżno białą o odurzającej woni tuberozą.

— To posłaniec przyniósł dla pana Ludwika — rzekła, stawiając ostrożnie wazon na bocznym stoliku.

Twarz Ludwika ożywiła się, oczy mu błysnęły.

— Czy nie było jakiego listu przy tem? — pytał.

— Nie, nie było żadnego — odparła służąca, tłumiąc domyślny uśmiech.

Ludwik wstał i podszedł do stolika. Z widocznem upodobaniem, z uśmiechem zadowolenia na ustach zaczął się przypatrywać tuberozie, dotykać białych kielichów kwiatu, wdychać upajający zapach.

Po twarzy pani Rażyckiej przemknął chmurny cień, a z czarnych oczu Janki strzelił płomień gniewu.

— Ależ to waryacya poprostu! — zawołała — Dzisiaj tuberoza, wczoraj róże, przedwczoraj jakieś nadzwyczajne cukry, kiedyindziej storczyki, które musiały Bóg wie ile kosztować! Ta waryatka, która to wszystko przysyła, to warta... no już nie wiem czego... Zebym się tylko dowiedzieć mogła, kto to jest, powiedziałabym jej kilka słów prawdy!

Ludwik odwrócił się i zmarszczył niechętnie.

— No, no, Janiu! Proszę cię, tylko nie tak ostro!

— To jeszcze za łagodnie! — odrzuciła siostra — Teraz przy takiej drożyźnie, przy tylu nieszczęściach, kiedy po wszystkich kątach kryje się bieda — wyrzucać pieniądze w taki idyotyczny, bezmyślny sposób!... Ile to sierot, rannych, kalek... A tu jakaś waryatka bawi się w przesyłanie bezimienne kwiatów i cukierków! To doprawdy...

— Moje dziecko — przerwała pani Rażycka — w tem, co mówisz jest dużo słuszności, ale... widzisz, nie wszystko można mierzyć jedną miarą... Staraj się, Janeczko, być mniej pohopną do ostrych sądów... Wierzaj mi, że jesteś bardzo młoda i dlatego nie możesz jeszcze wszystkiego zrozumieć.

Głos pani Rażyckiej zabrzmiał tak poważnie, że Janka nie odezwała się już z żadnym protestem.

Długą chwilę panowała cisza.

— Mamusiu — przerwała milczenie Janka — ja idę już do ochronki. I tak się spóźniłam. Do widzenia!

(Ciąg dalszy nastąpi)



Z pobojowiska w Rudniku nad Sanem: Zburzone domy na Rynku.

Z pobojowiska w Rudniku nad Sanem.

(Korespondencya własna „Nowości Illustrowanych").

Któż dziś nie słyszał o Rudniku nad Sanem i o nieszczęsnej doli, jaka biedne to miasto i całą parafię spotkała?...

Widziałem po inwazyi Gorlice i ziemię zoraną granatami nad Dunajcem i Białą, spoglądałem na zniszczenie i ruiny Krzeszowa, Niska, Rozwadowa i okolic położonych w pobliżu Przemyśla, lecz nierównie tragiczniejszym przedstawia się oczom naszym widok Rudnika i całej rudnickiej parafii, położonej nad krwią płynącym Sanem, nad brzegami którego w październiku i listopadzie 1914 i w maju i czerwcu 1915 r. po karpackich najuciążliwsze toczyły się walki!...

Iluż to ludzi wtedy cywilnych, tak mężczyzn, jak kobiet i dzieci padło tu od kul w domach, polach, lasach?... Ileż to mogił przybyło po rowach, zagajnikach, rolach, ogrodach, dziedzińcach domowych?... Ileż to teraz mniejszych i większych cmentarzy dotąd niewidzianych liczy Rudnik i najbliższa jego okolica, w których mogiła koło mogiły, krzyż koło krzyża zda się wyciągać zakrwawione ramiona hen, w górę do Boga i wołać głosem zbolałym:

„...Przed Twe ołtarze zanosim błaganie
Ojczyznę, wolność racz nam wrócić Panie!..."

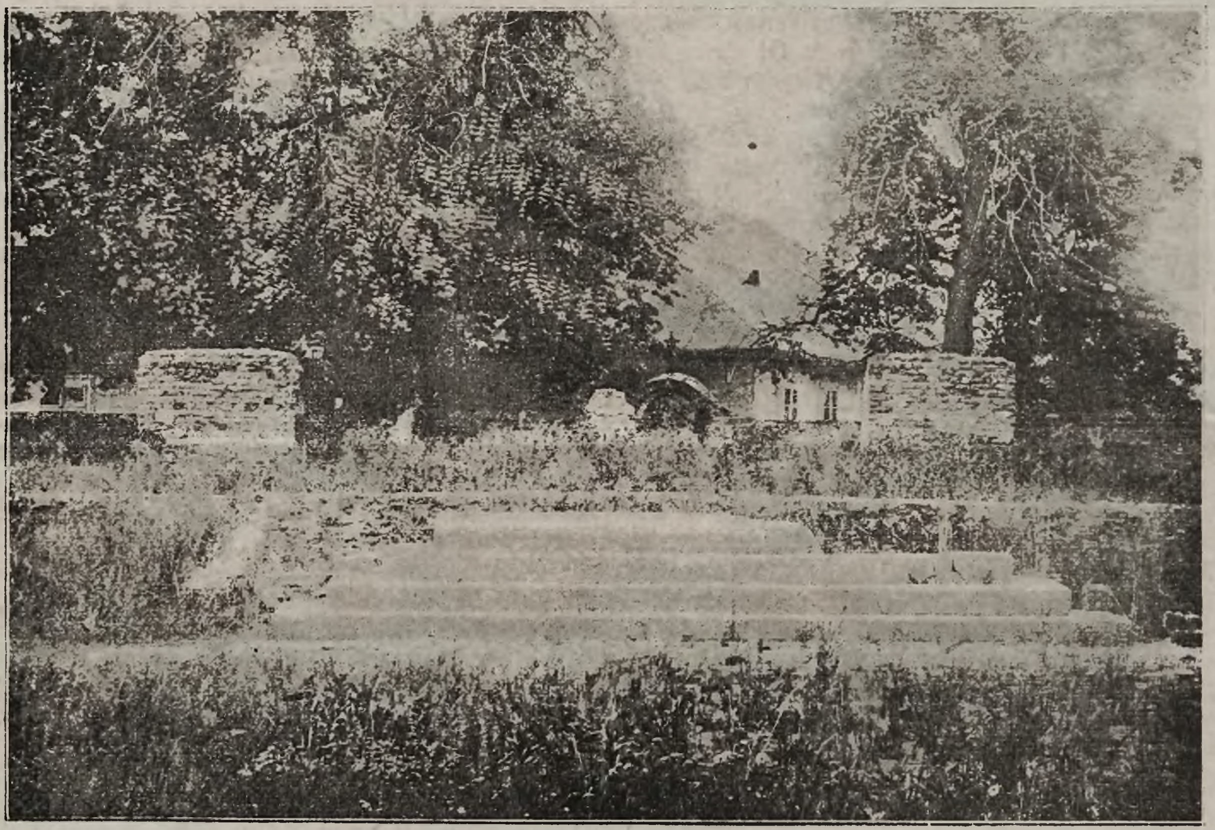
Przez jesień i zimę całą r. z. wykopywali pospolitacy nasi groby poległych bohaterów naszych i cywilnych, przenosząc ich szczątki z pól i pobrzeża Sanu na cmentarz wielki, nowy, wojenny w Rudniku, a mimoto zda mi się, że mogił w lasach i na polach nic nie ubyło! Tak wielka, tak niezmierna jest ich liczba!...

Miasto Rudnik w czterech piątych częściach zburzone i zrównane z ziemią! Z kościoła, który acz drewniany, ozdobą był parafii, zaledwie miejsce i kupa została popiołu! Dziś nabożeństwo odprawia się w ocalonej, starej plebanii.

W wioskach należących do parafii, jak Koziarnia, Tarnogóra, Groble, oko na kilku zaledwie spocznie starych domach, które jakby zaświadczyć chciały, że przecież i tam osady były, że przecież i tam mieszkańcy żyli. Lud dotąd jeszcze jakby pozbawiony zmysłów nie może oswoić się z swojem nieszczęściem, lecz błąka się po ruinach i gruzach z załamanemi rękoma, jęcząc i płacząc. Bieda i teraz wyszczerza złowrogie swoje ślepie przez szpary szałasów, które lud sobie sklecił z gałęzi drzew sosnowych, kawałków blachy, papy lub podartych płacht wojskowych...

Spoglądając na te iście „psie budy", ma się wrażenie, że pod względem kultury cofnęliśmy się wśród tej strasznej zawieruchy wojennej o tysiące lat wstecz, do owej epoki, w której mieszkańcy naszego globu nie znali jeszcze domów mieszkalnych, lecz kryć się i mieszkać musieli po jaskiniach i grotach ziemnych...

Dziś, dzięki gorliwej i energicznej trosce p. Dolnickiego, starosty z Niska, i podwładnych mu technicznych organów, sytuacya się poprawiła, lecz do odbudowy miasta i wiosek naszych jeszcze daleko, bardzo daleko.



Z pobojowiska w Rudniku nad Sanem: Ruiny spalonego kościoła parafialnego.

Zima znów w oczy zagląda. Mrozy poczynają znowu ścinać ziemię. Ba — i śnieg już pruszy, a wiatr zimny, wyprawiając harce, ze snu śpiących budzi!...

Aż drżę na samą myśl, jaki los czeka naszych biedaków, gdy zima znów w całej zawita grozie!... Szkoły już dzisiaj przeświecają pustką, bo dziatwa bosa, nie ubrana należycie i niema nadziei, by wobec teraźniejszych wygórowanych cen za surowiec i robociznę można ją było w ubranie i obuwie zaopatrzyć...

Zima poprzednia była dość łagodną, a dzięki dobroczynnej działalności K. B. K., jak niemniej wielu dobroczyńców, którzy pospieszyli nam z pomocą w ubraniach, artykułach żywnościowych i gotówce, mogliśmy setki nędzarzy karmić i odziewać.

A dziś, czy może wyczerpały się już i wyschły źródła miłosierdzia? *Sursum corda!* Cnota miłosierdzia święci dziś swoje tryumfy! Miejmy nadzieję, że serca dobre nie zapomną o niedoli Rudnika i o biednej jego dziatwie! Nie zapomną o braku w Rudniku świątyni, spiesząc już to z drobniejszą, już to z hojniejszą ofiarą, jużto zakupując u podpisanego albumy, przedstawiające w kilkunastu zdjęciach fotograficznych Rudnik nad Sanem po inwazyi rosyjskiej, z rozsprzedaży których to albumów czysty dochód przeznaczono na odbudowę spalonego kościoła.

Rudnik nad Sanem w październiku 1916.

Ks. Feliks Sękiewicz.

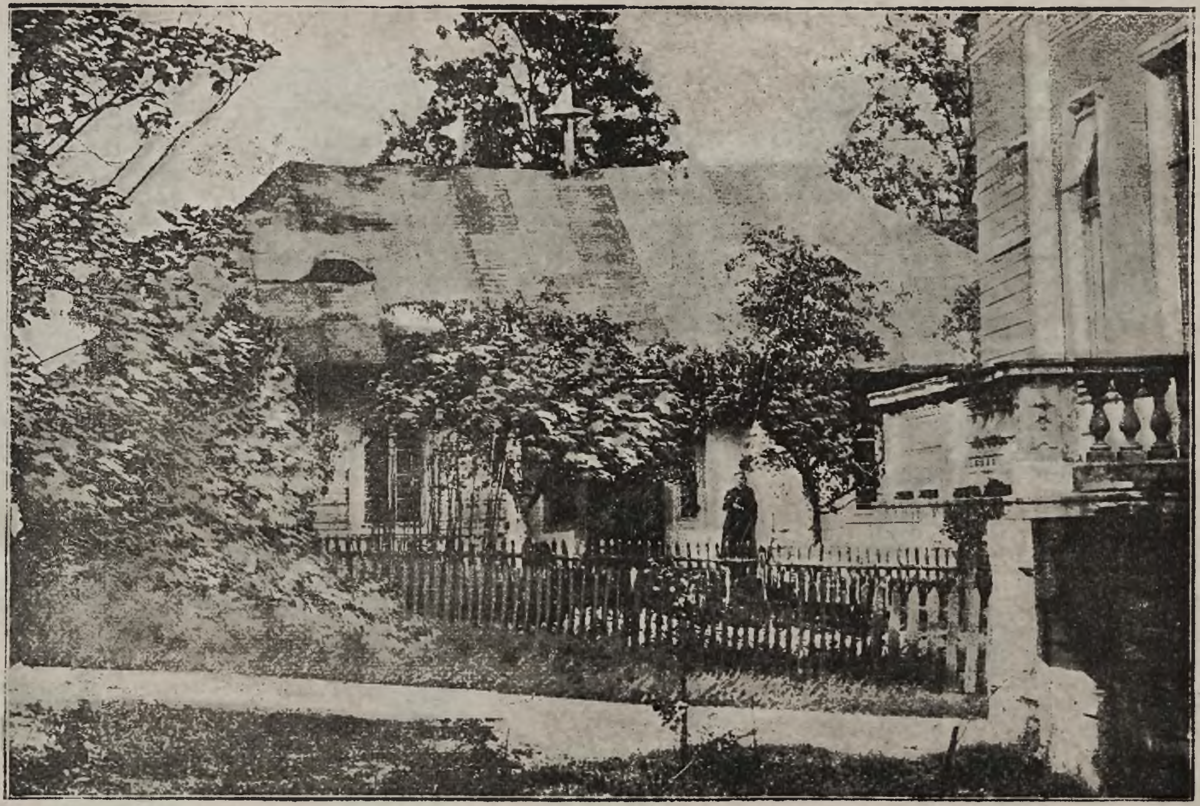


Z pobojowiska w Rudniku nad Sanem: Cmentarz wojenny.

Z frontów bojowych.

Gdy klęska za klęską spada na Rumunów, gdy nad całą zachodnią Rumunią zawisła groza nieprzyjacielskiej inwazyi, rozpoczęła sie ponowna działalność ofenzywna na zachodnim froncie. Francuzi i Anglicy spieszą na pomoc Rumunii, której ocalić nie potrafią od katastrofy posiłki rosyjskiego alianta. Zimno przyjęte zostały w Londynie wieści, nadchodzące z pól walki w Rumunii. Anglia formalnie nie była w nich zaangażowaną, skoro wszystkie rokowania o udział w wojnie Rumunii przez Rosyę tylko toczone i ostatecznie doprowadzone zostały do skutku. Anglia i Francya wszakże wiedzą zbyt dobrze, że bez względu na teatr wojny, wszędzie się rozgrywa walka o losy koalicyi. Ofenzywa, nad Sommą i pod Verdun podjęta, miała tedy pomódz nieszczęśliwemu nowemu sojusznikowi, nagłem uderzeniem wprowadzając w zamieszanie przeciwnika, zajętego głównemi siłami gdzieindziej i zmuszając go do ściągnięcia wojsk z rumuńskiego teatru wojny na francuski z powrotem. Dnia 22. października rozgorzały jednocześnie gwałtowne walki nad Sommą oraz nad Mozą. Raz jeszcze próbowali Francuzi i Anglicy, czy im się nie uda wstrząsnąć nieprzyjacielskiego frontu i na całej linii zmusić go do odwrotu.

Nad Sommą działo się, jak zazwyczaj. Ogień huraganowy, który nie kończy się już nigdy. Wszedł poprostu w stały repertoar dnia wojsk francusko-angielskich. Potem ruszyły masy piechoty angielskiej i francuskiej do szturmu. Szli Anglicy dzień za dniem na całej przestrzeni od Courcelette aż do Gueudecourt. Szli równocześnie z nimi Francuzi,



Z pobojowiska w Rudniku nad Sanem: Tymczasowa kaplica.



Obecne mieszkania ludności na Groblach.

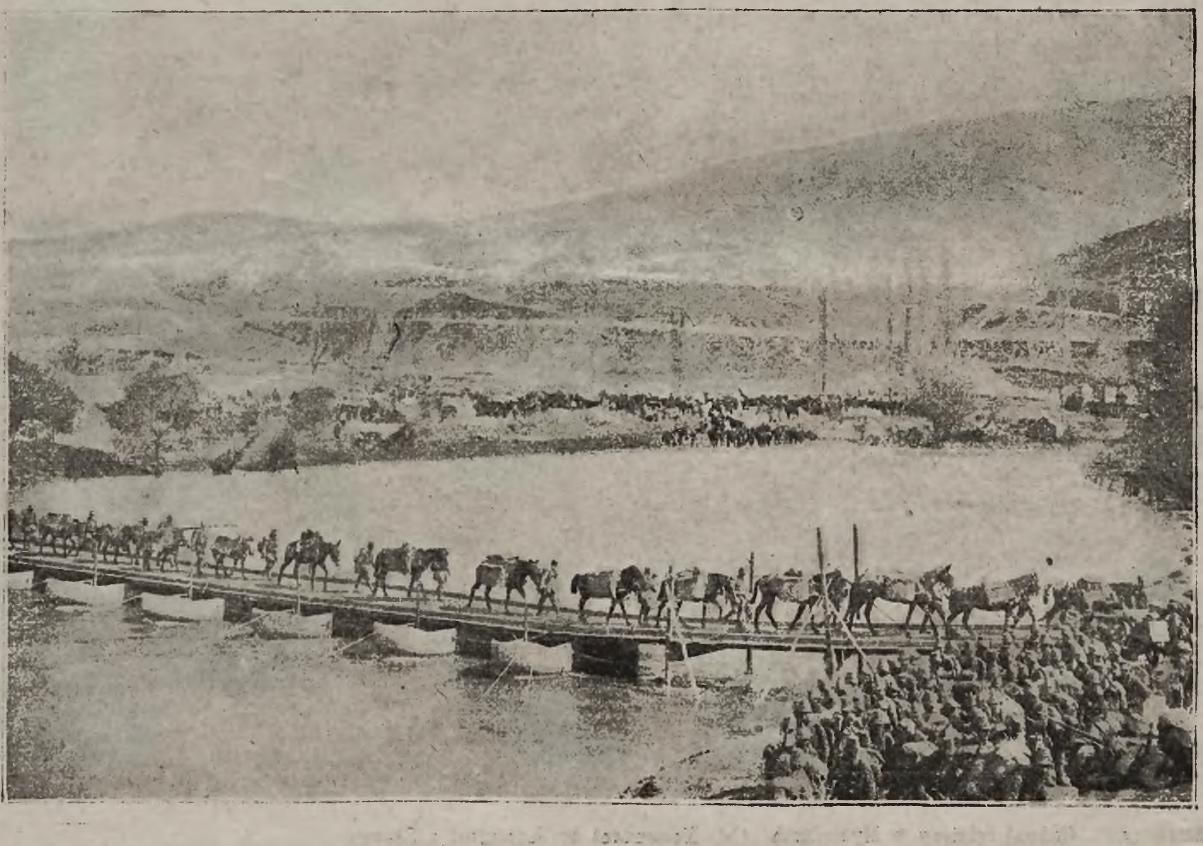
Z pobojowiska w Rudniku nad Sanem:



Las zniszczony granatami

pod Morval nawiązując do prawego skrzydła wojsk angielskich. Przeważnie już w zastawkowym ogniu dział niemieckich załamywały się fale, idące do szturmu. Reszty dokonywała broń biała, gdy artylerya i karabin maszynowy nie miał czasu skosić wszystkiego. W kilku punktach tu i ówdzie udało się Francuzom czy Anglikom przejściowo wedrzeć się w nieprzyjacielskie pozycye. Kontrataki, prowadzone z wściekłością, wyrzucały ich z gniazd chwilowych z powrotem. Obraz walki, monotonny w tożsamości swojej od szeregu tygodni, nie zyskał ani jednego nowego szczegółu. Pomnożyły się tylko stosy trupów przed zasiekami pozycyi niemieckich.

Sukcesem jednakże mogą się poszczycić Francuzi pod Verdun. Posłużyło im w tym wypadku niezaprzeczenie szczęście. Wśród korzystnych warunków — w gęstej mgle — uderzyli przed kilku dniami na froncie siedm kilometrów w sile pięciu dywizyi i uderzenie to doprowadziło ich do odzyskania fortu i wsi Thiaumont, wsi i fortu Douaumonti, znanych z poprzednich komunikatów, lasów Caillette, Chapitre, Fumin, Chenois, tudzież bateryi Damloup.



Z frontów bojowych: Przejście wojsk austryackich przez Wardar w Macedonii.

Sprawozdawcy pism niemieckich uznając w zupełności sukces generała Mangin i jego kolorowych wojsk, nie przypisują jednak uderzeniu francuskiemu, z uwagi na niewielką rozpiętość frontu uderzenia i małą stosunkowo ilość użytych do ataku wojsk, zamiaru strategicznego przełamania w odcinku Verdun frontu niemieckiego i zamykają go w ramach zjawisk taktycznych. W każdym razie, jak było zresztą do przewidzenia, upadek Douaumont pociągnął za sobą również opuszczenie warowni Vaux, ostatniej z będących jeszcze w rękach niemieckich części składowej właściwej twierdzy Verdun. Półoficyalny „Lokalanzeiger“ przynosi do opuszczenia fortu Vaux następujące wyjaśnienie:

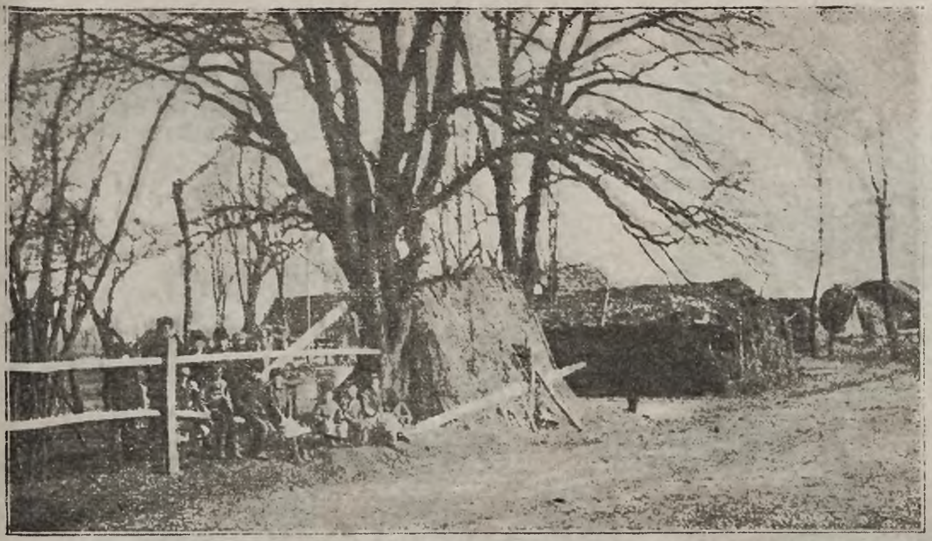
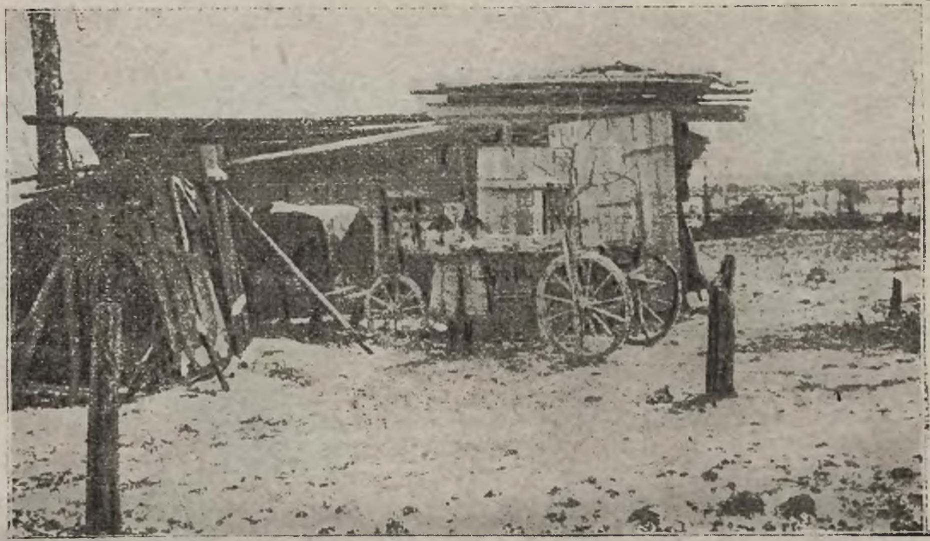
„Wiadomość sztabu jeneralnego o opróżnieniu fortu Vaux nie była niespodzianką, gdyż już 1. bieżącego miesiąca dowiedział się dziennik z miarodajnej strony wojskowej, że fort ten w nocy z 1. na 2. listopada będzie opróżniony. Względy wojskowo-taktyczne są zupełnie przekonywujące. Forty Douaumont i Vaux odgrywały w walce o Verdun tak długo rolę, jak długo pozostawały fortami w ręku Francuzów. Musiano te forty zniszczyć, co się też stało. Są one prawie zupełnie zniszczone. W ręku niemieckim stanowiły one tylko wyborny punkt celu dla artyleryi francuskiej. Ponieważ obszar, w którym



Szkoła inwalidów wojennych w Krakowie: Oddział leśny przy pracy na Bielanach (X) Kierownik kursu leśnego nadradca Wobr.



Szkoła inwalidów wojennych w Krakowie: Oddział rolniczy w Mydlnikach. (X) Komendant hr. Łubieński z Zasowa

Obecne mieszkania ludności w Tarnogórze. **Z pobojowiska w Rudniku nad Sanem:** Obecne mieszkania ludności na Groblach.

leżał były fort Douaumont, przeszedł w ręce francuskie, nie opłaciło się dla utrzymania fortu Vaux ponosić wielkich ofiar. Obszar koło Vaux nie nadaje się dla obrony ku zachodowi i południowi."

Co do frontu na Bałkanie, to należy zaznaczyć, że utknęła tam ofenzywa Sarraila. Mimo, że siedmiu wielkich i małych państw sztandary powiewają w jego armii i mimo, że kilka dni temu koalicyi. A tu już nieprzyjaciel zajął Harsowę, położoną o trzydzieści ośm kilometrów na zachodnio-północny-zachód od Czernawody, po prawym brzegu Dunaju. Tutaj przysuwają się do potężnego strumienia wypustki pagórkowatej części Dobrudży i zwężają płaszczyznę mokradeł, tworząc wygodniejsze, jakkolwiek jeszcze nie całkiem wygodne przejście. Teraz wojskom rosyjsko-rumuńskim pozostaje ostatnim, gdy właśnie w owym punkcie spotkają się obie cęgi nożyc, któremi operują sprzymierzeńcy?

Co do położenia na froncie wschodnim, to z biuletynów można wnosić, że naogół rozpoczyna się tam zmierzch jesienny. Przyszło wprawdzie do znaczniejszych starć pod Horodyszczem i nad Szczarą, nad górnym Stochodem, jako też w odcinku Zu-



Szkoła inwalidów wojennych w Krakowie: Uczestnicy kursu leśnego przy pracy w szkółce leśnej.

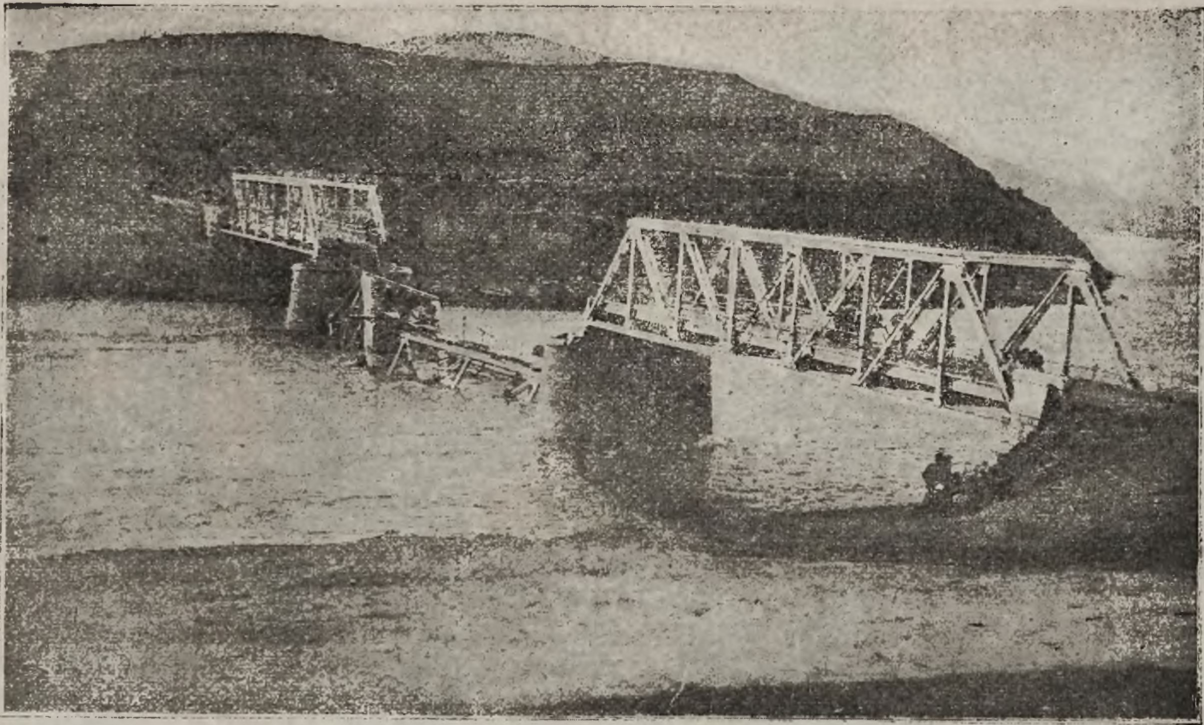
kawalerya Sarraila uzyskała w okolicy Korey połączenie z armią włoską, nie sprzyja mu szczęście. Przeciwnie, jest to rzeczą dla wszczętej imprezy bardzo nieprzyjemną, że Niemcom udało się skutecznie zaryglować bramę, na którą parli Serbowie.

Tak samo nie osiągnęły żadnych realnych rezultatów nowe wysiłki Włochów nad Soczą. Łatwo też zrozumieć rozpacz, która ogarniać musi Rumunię, przekonywującą się, jak kruchą jest pomoc tylko jedno: pospiesznie cofnąć się na linię Braiła-Gałac lub na Tulceę. O zorganizowaniu jakichś operacyi strategicznych w tej stronie już nie może być mowy.

A tak samo też na północnym froncie nie wiedzie się Rumunom. Ofenzywa sprzymierzonych czyni stałe i szybkie postępy. — Posuwa się ona w głąb kraju dwoma szlakami: na Campolung i wzdłuż linii kolejowej Ploesci-Bukareszt. — A co będzie z tym bilno Zaturze, lecz nie było tam już widać tej, co niedawno, zaciekłości. A także nad Narajówką wysiłki Rosyan obróciły się w niwecz. Pomimo to Rosyanie nie zrezygnowali jeszcze ze swego zamiaru przedarcia się do Kowla, chociaż przed ich frontem pola trupów zalegają tak gęsto, że, jak mówił jeden z jeńców, nie można znaleźć poprzez nie drogi. Kierownictwo wojsk rosyjskich wmawia jednak w żołnierzy, że dla piechoty pozostanie już tylko




Ruiny plebanii. **Z pobojowiska w Rudniku nad Sanem:** Ruiny zburzonej synagogi



Z frontów bojowych; Zburzony przez Rumunów most pod Tutrakanem.

zabawka, albowiem w rowach przeciwników żadnego zgoła nie będzie oporu. Nigdzie na froncie wschodnim nie użyli Rosyanie takich mas artyleryi z tak bogatym wkładem amunicyi, jak temi dniami na odcinku Zaturce—Zubilno.

Wieś Zaturce przy drodze z Włodzimierza Wołyńskiego do Łucka została już rozstrzelana zupełnie. Wciąż na nowo próbowali Rosyanie wziąć wzgórze 245, wznoszące się na północ od Zaturzec, na którego południowym stoku leży stary cmentarz wiejski — świerkowy lasek, zestrzelany obecnie aż do nielicznych pniaczków drzew. I teraz front pomiędzy Zaturcami a Zubilnem przedstawia cel wysiłków rosyjskich. Dnia 25. października wieczorem rozpoczęło się ostrzeliwanie celowe, częstokroć wzmagając się do siły ognia huraganowego.



Z żałobnej karty: S. p. nadporucznik Benedykt Rola-Różycki.

Kilkakrotnie zaprzestawano ognia i Rosyanie usiłowali ruszyć naprzód z rowów swoich, miejscami odległych od rowów austryackich o ośmdziesiąt do stu metrów, ale zdołano ich zawsze powstrzymać ogniem zaporowym. Zwłaszcza żałośnie zawiodły wysiłki rosyjskie dnia 26 października i po południu dnia 28 października, poprzedzane za każdym razem jak najsroższym ogniem huraganowym.

W rozszalałym ogniu artyleryjskim brały przedewszystkiem udział latające miny ciężkiego kalibru i nie można było uniknąć tego, by stanowiska i zasieki austryackie nie doznały szkody. Powiodło się jednak uszkodzone miejsca w nocy znowu przywieść do porządku. Straty obrońców, jak gdyby cudem, w dniach tych pozostały małe. Dnia 30 października rano utknęła nowa, ostatnia próba Rosyan opuszczenia swoich rowów. Poczem celowy ogień artyleryjski stracił nieco na sile. Niepogoda, początkowe zimna, płynna mgła, później w ostatnich dwu dniach strumienie dżdżu utrudniły walkę.

Z żałobnej karty.

W Esseg na Węgrzech zakończył życie na tyfus brzuszny ś. p. Rola Różycki, syn Wacława i ś. p. Maryi z Wesołowskich. Urodzony w Stryju w roku 1886, ukończył gimnazyum we Lwowie, poczem na dalsze studya przeniósł się do Krakowa, gdzie ukończył wydział prawny. Poświęciwszy się karyerze prawniczej, pracował w Kalwaryi, a następnie jako kierownik kancelaryi dra Krawczyńskiego w Suchej.

Gdy wybuchła wojna, ś. p. Różycki, jako oficer rezerwowy, stanął w szeregach już 27. lipca 1914 r. Odbył szczęśliwie kampanię w Serbii i Czarnogórze, zdobywając w tych walkach swem męstwem i zdolnościami uznanie przełożonych i miłość podkomendnych. Awansowano go też na nadporucznika i mianowano adjutantem brygady.

S. p. nadporucznik Rola Różycki osierocił żonę, p. Ludwikę z Gerasów, jak również ojca Wacława i liczną jego rodzinę, której jako najstarszy syn był troskliwym opiekunem.

Cześć jego pamięci!



Szkoła inwalidów wojennych w Krakowie: Uczestnicy kursu rolniczego przy pracy w Rakowicach.



Szkoła inwalidów wojennych w Krakowie: Praca przy pomocy protez na kursie rolniczym w Rakowicach.

JULES CLARETIE.

TAJEMNICZY OSKARŻYCIEL.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

1

I.

— Dom pana Bernardet? Na końcu pasażu, na prawo... Tak, tak, ten dom otoczony ogrodem i żelaznemi sztachetami, który stąd widać doskonale!

Człowiek, któremu jakiś przechodzień dawał te informacye, skłonił się i przyspieszył kroku, nie zważając na zmęczenie i oddech ciężki spowodowany szybkim biegiem.

Domek, do którego podążał, mieścił się w głębi pasażu zabudowanego starymi, czerniejącymi domami, sklepami o dziwacznych, wypłowiałych szyldach.

Pasaż zaś ponury i opustoszały, wychodził na bulwar zewnętrzny gwarny, ruchliwy i wesoły, po którym uwijał się tłum hałaśliwy, zdążający spiesznie do omnibusów i tramwajów, rozgałęzionych gęstą siecia w tej części miasta.

Człowiek, spieszący do oddalonego domku, miał wygląd robotnika, powracającego od roboty. Gruby był, barczysty i chociaż mrzył gęsty, październikowy deszczyk, biegł z odkrytą głową, dysząc ciężko i z trudnością chwytając powietrze.

Był on w rzeczywistości rzemieślnikiem i nazywał się Moniche. Od lat paru zajęty był jako dozorca w jednym z domów przy ulicy Clichy i w wolnych chwilach od obowiązkowych zajęć oddawał się krawiectwu, podczas kiedy żona jego zamiatała schody i pilnując ogólnego porządku, biadała bez przerwy na los swój nieszczęśliwy.

Według przekonania pani Moniche, życie było ciężkie i smutne. Kiedy miała lat 18 pełna była nadziei jaknajlepszych na przyszłość i nawet stanowisko dozorczyni domu i żony krawca, nie wydawało się jej rzeczą najgorszą. Pocieszała się, że niekoniecznie musi się doczekać starości przy boku tego zapracowanego wiecznie i gderzącego męża. Los jest niekiedy łaskawy i niespodziewaną zmianę na lepsze przynieść może. Ale lata mijały, młodość już dawno pożegnała Moniche, a ona ze swojej roli dozorczyni domu jakoś wyjść nie miała.

W dniu tym życie dało jej wzruszenie, oddawna nie przeżyte. Pani Moniche nie mogła narzekać na brak nudów tego jesiennego popołudnia. Wszedłszy przed chwilą do mieszkania pana Roverè, swojego lokatora, zastała go rozciągniętego na podłodze z oczami w słup stojącemi i podciętem gardłem! Pierwszy to był dramat krwawy, którego znudzona pani Moniche była świadkiem! Pan Roverè od lat kilku mieszkał w kamienicy przy bulwarze Clichy, zajmując niewielkie mieszkanie na drugiem piętrze. Nie przyjmował nigdy u siebie nikogo, posępny był i tajemniczy. Pani Moniche zajmowała się utrzymywaniem w porządku jego pokojów. Wchodziła tam dowolnie, mając własny klucz do użytku — niekiedy nawet na prośbę swojego lokatora przeistaczała się w jego lektorkę.

No i teraz pan Roverè leżał bez życia, z raną okropnie krwawiącą na szyi! Pan Roverè został zamordowany! Widok ten uczynił wstrząsające wrażenie na pani Moniche. Ochłonąwszy cokolwiek, zbiegła szybko do loży, w której pracował jej mąż i chwytając go za ramię zawołała zdławionym głosem:

— Biegnij prędko po policyę! Zamordowano naszego lektora, pana Roverè!

Usłyszawszy słowo „policya“ pan Moniche wstrząsnął się nerwowo. Nie pomyślał jednak o przywołaniu komisarza dzielnicowego, lecz powziął natychmiastowe przekonanie, że człowiekiem, który tu zawezwanym być powinien, był ten dobry i zacny pan Bernardet, uchodzący za genialną głowę i najlepszego ajenta w dyrekcyi policyi. Moniche znał oddawna pana Bernardeta, gdyż niejednokrotnie naprawiał jego stare ubrania i mundury.

Odległość z bulwaru Clichy do domka starego ajenta nie była zbyt wielka i Moniche znał doskonale tę drogę, ale biedak był tak oszołomiony i przybity nagłem zjawieniem się żony, przynoszącej złowrogą wiadomość, iż stracił zupełnie zmysł oryentacyjny i zmuszony był zasięgnąć informacyi u pierwszego, napotkanego przechodnia. Kiedy nareszcie dobiegł do furtki ogrodowej, był tak zmęczony, że przystanął na chwilę, aby odetchnąć swobodniej. Wzruszenie jego wzmagało się. Zdawało się mu, że jest pod wpływem jakiegoś niezdrowego snu. Morderstwo w jego kamienicy! W tej kamienicy spokojnej i cichej, zamieszkałej przez rentierów i urzędników! I to w biały dzień, w miejscu tak ludnem, jak bulwar Clichy — w chwili, kiedy on najspokojniej sobie pracował w loży swojej, nie przeczuwając niczego!

Patrzał, nie poruszając dzwonka, na mały domek pana Bernardeta i przypomniał sobie, że to był nietylko dzień niedzielny, ale i dzień, w którym stary ajent zwykł obchodzić imieniny swoje. Jeszcze wczoraj spotkawszy Moniche'a, wspominał o tej uroczystości rodzinnej.

Moniche pomyślał, że będzie bardzo niepożądanym gościem w tym cichym domku otoczonym drzewami i wahał się, będąc bardzo nieśmiałym z natury. W końcu zdobył się na odwagę i zadzwonił. Furtka otworzyła się natychmiast, zapraszając do wejścia. Przeszedł niewielki ogródek i podchodząc pod dom, ujrzał na progu małą, pulchną kobietkę, świeżą jak brzoskwinia.

— E! panie Moniche! — zawołała potrząsając serwetą trzymaną w ręce.

— Moje uszanowanie, pani Bernardet — odpowiedział krawiec, drżąc ze wzruszenia.

— Ale co panu jest, panie Moniche? Dlaczego pan taki rozgorączkowany? Czy co się stało?

— Nie, nic, pani Bernardet, tylko chciałbym pomówić z panem Bernardet...

— Nic łatwiejszego — odpowiedziała młoda kobieta. Mój mąż jest w ogrodzie. Korzysta z ostatnich jasnych dni i robi grupę.

— Jaką grupę?

— Przecież pan wie dobrze. Fotografuje. To jego pasya. Proszę, niech pan idzie, panie Moniche.

Pani Bernardet wskazała krawcowi ręką długi korytarz prowadzący do ogródka rozciągającego się za domem, gdzie poczciwy pan Bernardet, korzystając z dnia świątecznego, pozował przy okrągłym stole trzy swoje małe córeczki, nakazując im siedzieć spokojnie.

Ujrzawszy Moniche'a, Bernardet zdaleka czynił mu znaki, aby się nie zbliżał. Ustawiał właśnie aparat i kręcił się koło niego zadowolony i wesoły.

— No — rzekł po chwili, odstawiając aparat — już koniec. Możecie teraz iść się pobawić moje dzieci! A co tam, panie Moniche? Czem mogę panu służyć?

Nie odwracając się, wyciągał z ziemi nóżki apa ratu, podczas kiedy dziewczynki podskakując, pobiegły do matki.

— No, panie Moniche — powtórzył rzucając ukośne spojrzenie na milczącego krawca. — Co tam nowego? Ale natychmiast przenikliwem swem spojrzeniem dostrzegł zmieszanie jego i bladość twarzy i zrozumiał, że musiało się stać coś niezwykłego.

— A tam co znowu? — zawołał — jesteś pan blady jak chustka! Cóż się stało?

— Ah! panie Bernardet — wyszeptał Moniche, ocierając pot z czoła. Jest z czego być wzruszonym! Niech pan sobie wyobrazi popełniono morderstwo w moim domu!

— Morderstwo! — powtórzył Bernardet.

Twarz jego dotąd wesoła i rozpromieniona, zmieniła nagle wyraz i stała się skupiona i poważna. Duże niebieskie oczy błysnęły silnym ogniem.

— Tak jest, panie Bernardet! Morderstwo! Pan Roverè... pan zna pana Roverè?

— Nie — odparł ajent.

— Zdawało mi się, że wspominałem panu o nim... oryginał! Człowiek samotny... zamordowano go... Moja żona przed chwilą wchodząc do niego...

— Kiedy morderstwo miało miejsce — przerwał ostro ajent.

— A! panie Bernardet! Tego wiedzieć nie mogę... Wiem tylko tyle, że żona moja zastała zwłoki jeszcze ciepłe. Ona się niczego nie boi. Dotknęła ich...

— Jeszcze ciepłe...

Te słowa uderzyły Bernardeta. Zastanowił się chwilę, poczem zwrócił się do krawca.

— Dobrze. Chodźmy tam...

Ale nagle myśl jakaś zajaśniała w jego głowie, bo zwrócił się do drzwi i zawołał:

— Biorę to z sobą!

I odkręcił szybko aparat fotograficzny, przytrzymując go rzemieniem przez plecy.

— Mam jeszcze trzy płyty — to przydać się może.

Pani Bernardet, stojąca w głębi ogrodu z dziećmi, domyśliła się prędko, że Moniche przyszedł z jakąś niedobrą wiadomością, skoro spojrzała na twarz męża. Podeszła do niego szybko i rzekła z żalem.

— Odchodzisz? Naprawdę, odchodzisz?

— Muszę — odpowiedział Bernardet.

— Oh! mój Boże! A nasza niedziela! Ale wieczorem przyjdziesz i zaprowadzisz nas do teatru w Montmartre.

— Tego wiedzieć nie mogę.

— Obiecałeś przecież. Biedne dzieci! Tak się cieszyły na to przedstawienie.

— To trudno, moja kochana! Nic wiedzieć jeszcze nie mogę. Zobaczę! To prawda, mój Moniche — dodał zwracając się do krawca — źle się złożyło! To dzisiaj dzień moich imienin! Obiecałem dzieciom teatr! Miałem wolny dzień. Co robić! Ale nie desperujcie jeszcze! Może będę mógł wrócić wieczorem! Postaram się o to. — No, Moniche, chodźmy do pana Roverè!

II.

Pan Bernardet był w dyrekcyi policyi uznawany za osobistość dosyć oryginalną. Z pomiędzy ajentów, rekrutujących się po największej części z niższych warstw miejscowej ludności, wyróżnił się inteligencyą i zamiłowaniem nadzwyczajnem do czytania.

— Bernardet — mawiał szef do niego często — ty masz ambicye literackie, jak widzę. Strzeż się! Minąłeś się z powołaniem — powinieneś był zostać dziennikarzem.

— Nie, panie Leriche — odpowiadał Bernardet — tylko, że ja, widzi pan, lubię interesować się wszystkiem.

I tak było w rzeczywistości. Gdyby Bernardet nie był ajentem policyjnym, byłby z pewnością zajął w świecie stanowisko wybitnego bibliotekarza, tak bardzo zajmowały go stare księgi i pergaminy. Był to typowy mól książkowy. Prowadził on od lat wielu podwójny tryb życia. W służbie surowy i obowiązkowy, tropiący z całą sumiennością „zwierzynę“ jak sam się wyrażał — w domu staranny ojciec rodziny, pielęgnujący kwiaty swojego ogródka i oddający się z zamiłowaniem fotografowaniu i czytaniu. Skupował książki gdzie się dało, stare broszury, dzieła naukowe, nawet roczniki dzienników — znajdując we wszystkiem coś, co mogło zaspokoić jego ciekawość i umysł bystry łaknący nowych myśli i poglądów.

Nienasycona ciekawość była głównym czynnikiem jego życia. Trudne i przykre obowiązki ajenta policyjnego spełniał z ochotą, bo w nich uczył się poznawać naturę ludzką i zadowalniały one jego pragnienie badania. Moralne przeciwieństwa różnych sfer społecznych interesowały go nadzwyczajnie. Jako obserwator przenikliwy i przeczulony prze chodził z wytwornej sali opery lub pierwszorzędnej kawiarni, ubrany bez zarzutu w czarne, eleganckie ubranie — do zaułków najnędzniejszych i brudnych, węsząc i śledząc niezmordowanie, podchwytując rozmowy, łowiąc spojrzenia i gesty.

Pan Bernardet biegł teraz szybko ku bulwarowi Clichy, nie zwracając uwagi na biednego Moniche'a, który nie mógł mu dotrzymać kroku i pocił się i sapał niemiłosiernie.

Przed domem, gdzie dokonano zbrodni, tłum zbity zgromadził się już, tamując ruch uliczny.

— Oh! — zawołał Moniche, chwytając za rękę ajenta. Czy widzi pan? Kiedy wychodziłem nie było tu jeszcze nikogo.

Bernardet zatrzymał się, patrząc uważnie na powiększającego coraz więcej zbiegowisko.

— Moniche. — rzekł po chwili — Powinieneś był przedewszystkiem zawiadomić komisarza dzielnicowego. Ja nie jestem urzędnikiem i władza moja jest tu bez znaczenia.

— Oh! Panie Bernardet — zaoponował Moniche — pan jest mądrzejszy od nich wszystkich.

— To nie o to chodzi. Komisarz jest komisarzem i on tu być musi. Biegnij po niego.

— Ale skoro pan tu jest, panie Bernardet.

— Jestem z własnej woli, ale nie zawezwany z urzędu. I powtarzam ci Moniche, nie jestem wcale urzędnikiem policyi.

— A czemże pan jest, panie Bernardet?

— Najzwyklejszy w świecie policyant, rozumiesz mój przyjacielu — odparł z prostotą ajent — Aresztuję, kiedy mi każą, ale na własną rękę śledztwa prowadzić nie mogę.

Mówiąc to Bernardet przeszedł ulicę i zbliżył się do tłumu. Wszyscy sąsiedzi zbiegli się już na miejsce wypadku. Szmer głośny rozchodził się wokoło, a oczy wszystkich błyszczały ciekawością i gorączką sensacyi. To słowo „zbrodnia“ dziwnie magnetyczny wpływ wywierało na ten tłum żądny silnych wrażeń i widoków.

W tej samej chwili przed domem stanął powóz, z którego wyskoczył młody człowiek, wołając donośnym głosem:

— Gdzie jest pan Leriche! Chcę widzieć pana Leriche!

Szef policyi, nie będąc poinformowanym, nie znajdował się jeszcze na miejscu zbrodni. Ale wysoki, młody człowiek poznał natychmiast Bernardeta i przyczepił się do niego, podczas kiedy przez pół otwartą bramę Moniche usiłował torować im drogę do wnętrza domu.

— Trzeba będzie zawołać policyantów dla utrzymania porządku. — zauważył Bernardet — Inaczej uczynią tu formalne oblężenie.

Pani Moniche oczekiwała przy schodach, otoczona gronem lokatorów, którym po raz dwudziesty może opowiadała, jak wchodząc do mieszkania pana Roveré, zastała go już nieżywego, z okropną raną na szyi.

— Przyszłam mu przeczytać dziennik — mówiła — feljeton, który go bardzo interesował. Doszliśmy właśnie do miejsca, w którym baron wyzywa na pojedynek amerykańskiego pułkownika. Jeszcze wczoraj biedny człowiek mówił do mnie: „Chciałbym już wiedzieć, który z nich zginie w tym pojedynku"... Nie dowie się już, niestety, nigdy.

— Pani Moniche! — przerwał Bernardet — Czy nie miałaby pani posłać kogo po komisarza i zawiadomić go o wypadku?

— Posłać kogoś?

— Tak! — dodał Moniche — Pan Bernardet potrzebuje komisarza. To przecież nie trudne do zrozumienia.

— Komisarza? — powtórzyła pani Moniche — Rozumiem dobrze. A może, panie Bernardet, ja sama pobiegnę po niego.

— Tylko niech pani uważa, otwierając bramę, aby tłum tu się nie wcisnął.

— Niech się pan nie obawia — odparła dozorczyni, rada z odegrania tak ważnej roli.

Podczas kiedy pani podążyła ku bramie wchodowej, Bernardet, za którym postępował Moniche, wstępował na schody wiodące na drugie piętro, nie troszcząc się bynajmniej o wysokiego, młodego człowieka, który tu przybył w celu zasięgnięcia pierwszych wiadomości dla swojego dziennika.

Kiedy znaleźli się już na drugiem piętrze, Moniche otworzył drzwi mieszkania pana Roveré i stanął na boku, przepuszczając ajenta, za którym wcisnął się reporter.

Bernardet widział go doskonale, ale na znaki oburzenia, dawane mu przez Moniche'a, odpowiedział dobrotliwie uśmiechając się:

— Zostawmy go w spokoju. I ten także żyć musi. Zresztą lubię, kiedy dzienniki zajmują się sprawami kryminalnemi. Wyrabia to jeszcze większe zainteresowanie u publiczności.

W przedpokoju, do którego weszli, nic nie zdradzało, że odegrał się tutaj tak niedawno dramat tajemniczy.

Ubrania i broń różnego rodzaju porozwieszane były po ścianach w najzupełniejszym porządku. Bernardet przechodząc, objął to wszystko szybkiem spojrzeniem.

— To w salonie się stało — szepnął Moniche.

Jedna część drzwi salonu była otwarta i stanąwszy w progu, Bernardet ujrzał na środku wielkiego dywanu, na którym czerniła się duża krwawa plama, wyciągnięte zwłoki pana Roverè, owinięte w obszerny szlafrok z niebieskiej wełny. Zmarły leżał pomiędzy dwoma oknami, wychodzącemi na bulwar Clichy. Zauważył to natychmiast ajent i zdziwił się, jakim sposobem potrafiono zamordować człowieka w jasny dzień prawie pod oczami przechodniów i w bliskości przejeżdżających automobilów i dorożek.

— Ten, który uczynił zamach, zręcznym być musiał. — zastanawiał się Bernardet — Zręcznym i niezwykle zuchwałym! Przysiągłbym, że to nie pierwsza jego sprawa.

Posunął się ostrożnie ku zwłokom, jak myśliwy tropiący zwierzynę i żywe spojrzenie jego biegało po przedmiotach otaczających zmarłego.

Gdyby nie rana otwarta na szyi, wydawaćby się mogło, że pan Roveré żyje jeszcze. Twarz miał bladą spokojną, tylko usta zaciśnięte zdradzały gniew i groźbę jakąś. Człowiek ten silny i szczupły musiał paść odważnie, przeklinając w chwili ostatniej swojego mordercę.

Straszna rana, rozciągająca się na jego szyi, tworzyła rodzaj krwawej, szerokiej opaski, odcinającej się żywo na tle długich, białych włosów.

Lecz najwięcej zainteresował Bernardeta, przyglądającego się od chwili badawczo i przenikliwie — wzrok zmarłego. Ten zwrok dziwny przykuł całą jego uwagę.

Widniała w nim groza jakaś straszna i walka, a przytem zdawało się, że te oczy szeroko otwarte i błyszczące wzywały pomocy jakiejś istoty niewidzialnej, i odnosiły się do niej z prośbą gorącą i błagalną, podczas kiedy usta usiłowały wymówić jakieś słowa przekleństwa czy groźby.

Oczy te przerażały wyrazem wściekłości i obłędnej trwogi. Zdawały się być nadmiernie rozszerzone i żywe jeszcze w tej śmiertelnej, bladej masce zamordowanego. Wyrażały one wzruszenie nieludzkie i bolesne. Patrząc w nie, Bernardet mimowoli pomyślał, że tu, w tym pokoju, na chwilę przed śmiercią zgładzonej ofiary musiał się odbyć dziwny pojedynek słów pomiędzy nią a jej mordercą. Ten wyraz szczególny musiał mieć zamordowany na długo przed śmiercią i pozostał bez zmiany, aż do chwili ostatniej.

Twarz Bernardeta przyoblekła się w głęboką powagę i skupienie. Oczy zamordowanego pana Roveré były dla niego tajemniczym problemem, ciekawym do rozwiązania. Po chwili wzrok jego skierował się na ręce. Ręce pana Roverè były silnie skurczone, tak, jakgdyby w śmiertelnej walce czepiały się rozpaczliwie szyi i ubrania mordercy.

— Krew jest na paznogciach! — zauważył głośno Bernardet.

Asystujący mu reporter skwapliwie zanotował te słowa w przygotowanym notatniku. Mógł stworzyć z nich sensacyjny artykuł dla swojego dziennika.

I znowu spojrzenie ajenta powróciło, przyciągnięte jakąś magnetyczną siłą, do oczu zmarłego.

— Ciekawe! Ciekawe! — wyszeptał, pochylając się nisko! — Zdaje mi się, że oczy te zatrzymały w sobie obraz straszny jakiś i groźny. A gdybym spróbował...

Urwał i powrócił do oględzin rąk. Dotknął je palcami — zimne były i sztywne.

Po jakimś czasie wyprostował się i ku zdziwieniu reportera, śledzącego wszystkie jego ruchy, wyciągnął z kieszeni rodzaj wstążki srebrnej, zwiniętej w kłębek i poprosił Moniche'a o przytrzymanie go, podczas kiedy sam przygotowywał przyniesiony ze sobą aparat.

— Przedewszystkiem — szepnął do siebie Bernardet — starajmy się zachować szczególny wyraz tego spojrzenia. Zamknijcie okiennice! Potrzebna mi jest ciemność zupełna!

Kiedy Moniche wykonał jego rozkaz, Bernardet odliczył kilka kroków i stanął z aparatem naprzeciw zwłok.

— Moniche! Zapalcie światło magnezyowe! — rzucił swojemu pomocnikowi — Czy macie przy sobie zapałki?

— Nie! — odpowiedział zapytany.

— Leżą tam, na kominku! — odparł ajent, którego bacznej uwadze nie uszedł sprzęt żaden znajdujący się w pokoju — Bez światła magnezyowego nie otrzymamy żadnego rezultatu. Kiedy powiem „już", zapalicie Moniche prąd magnezyowy, a ja zrobię dwa lub trzy zdjęcia z twarzy zamordowanego. Zrozumieliście mnie? Stańcie tu obok mnie, z lewej strony. Tak! Uwaga!

Bernardet chwilę w milczeniu nastawiał aparat, podczas kiedy reporter zawzięcie notował coś, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Już! — zawołał Bernardet.

Nagły snop oślepiającego światła rozświetlił pokój. Blada twarz pana Roverè wydała się bledszą jeszcze, a otaczające go przedmioty nabrały jakiegoś fantastycznego wyglądu.

— Powtórzmy raz jeszcze — odezwał się ajent.

I po trzykroć w błyskawicznem tem oświetleniu twarz zmarłego ukazała się tajemnicza i pełna grozy. Krwawiąca rana pod szyją błysnęła czerwieńszą jeszcze purpurą, a oczy, te oczy powiększone i uporczywie patrzące, tragiczne i wymowne, te oczy przepełnione pogardą, nienawiścią, lękiem i przekleństwem, te oczy, w których zdawało się, że iskra życia nie zamarła jeszcze — w fantastycznym blasku magnezyowego światła, ożywiły się jeszcze więcej, rzucając dzikie, piorunujące błyski w próżnię, tak jakgdyby tam zmiażdżyć kogoś chciały...

— No, teraz mam wielki atut w ręce — odezwał się spokojnie głosem Bernardet... Jeżeli z tych trzech zdjęć...

Przerwał i spojrzał szybko ku drzwiom. Ktoś do nich pukał natarczywie i śmiało.

— To komisarz — Moniche! Idź pan otworzyć!

Rzeczywiście był to komisarz dzielnicowy, któremu towarzyszyła pani Moniche. Za nimi cinęli się jacyś ludzie.

Przed wejściem do przedpokoju, komisarz zwrócił się do tłumu, który coraz gwałtowniej zalegał schody i pchał się brutalnie do mieszkania.

— Proszę się usunąć natychmiast — rozkazał stanowczym, donośnym głosem. Nikomu tu wchodzić nie wolno. Proszę panią nie wpuszczać tu nikogo. Wstęp wzbroniony!

Szmer niezadowolenia rozległ się między publicznością. Ludzie ci, przypędzeni tu niezdrową ciekawością i pragnieniem mocnych wrażeń, czuli się pokrzywdzeni i zawiedzeni.

— Ale my — panie komisarzu! Ale my — odezwały się pojedyncze głosy. — Do nas ten nakaz stosować się nie może! Jesteśmy dziennikarzami!

— Panowie dziennikarze wejść mogą za okazaniem swojej karty — odrzekł komisarz. Ale nikt więcej! Szmer niezadowolenia wzmógł się jeszcze.

— Nikt więcej — powtórzył surowo komisarz. Proszę o spokój!

Przywołał skinieniem dwóch ajentów i kazał im stanąć przy drzwiach wiodących do mieszkania, nakazując im ścisłą kontrolę wpuszczonych osób, poczem sam wszedł do przedpokoju.

— Gdzie są zwłoki? — zapytał nadbiegającego Moniche'a.

— Leżą w pierwszym pokoju, tam, gdzie je znaleźliśmy.

Komisarz wszedł, szukając oczami Bernardeta, o którego obecności tutaj był już poinformowany przez panią Moniche.

Ajent w służbowej postawie usunął się na bok, czekając na rozkazy swojego przełożonego.

Komisarz bez słowa przystąpił do zwłok i przyglądał im się z zajęciem. Wyraz twarzy zamordowanego zwrócił również jego uwagę.

— Bernardet — rzekł po chwili przywołując ruchem ręki ajenta. — Czy nie zauważyłeś, że twarz ta dziwnie jest tragiczna i piękna. Widziałem wielu zamordowanych, ale tego niezwykłego wyrazu nie zdarzyło mi się nigdzie pochwycić.

— Tak jest, panie komisarzu — odparł Bernardet. — To ciekawe studyum dla człowieka lubiącego odgadywać zawiłe zagadki...

— Czy wiesz już co o mordercy?

— Nic jeszcze.

Pan Desbrières zwrócił się teraz do dozorcy domu i jego żony z zapytaniami, równocześnie badając spojrzeniem pokój cały.

— Kim był pan Roveré?

— Oh! panie komisarzu — odpowiedziała pani Moniche — to był najuczciwszy i najlepszy z naszych lokatorów. Nie mieliśmy mu nic nigdy do zarzucenia.

— Tak jest — potwierdził Moniche — to był dzielny człowiek.

— Nie chodzi mi o jego moralne zalety! — przerwał trochę niecierpliwie komisarz — Chcę wiedzieć, jak żył i kogo zazwyczaj przyjmował u siebie.

— Bardzo mało ludzi. — odpowiedział Moniche — Biedny pan lubiał samotność. Od ośmiu już lat był naszym lokatorem. Miał przyjaciół, ale bardzo mało i jak powiadam, nie przyjmował wiele.

— Skąd przybył pan Roveré, kiedy zamieszkał w tym domu?

— Nie wiem, panie komisarzu, podobno gdzieś z zagranicy. Pamiętam, że kiedy wprowadzał się do nas, uderzyła mnie wielka ilość ksiąg i obrazów, które z sobą przywiózł. Pan Roveré sam zajmował sie umieszczaniem tych obrazów po ścianach i układaniem książek w bibliotece. Mówiono o nim, że był niegdyś konsulem w Hiszpanii, czy też w Ameryce Południowej. Żył skromnie, chociaż uważaliśmy go wszyscy za bogatego człowieka.

— A czy był skąpym dla drugich? — zapytał komisarz.

— Oh! Wcale nie! — zaprzeczył Moniche — Był nawet bardzo wspaniałomyślnym, chociaż unikał ludzi.

— I nie przypominacie sobie, kto go najczęściej odwiedzał?

— Tak mało było tych osób. — rzekł Moniche — Lat temu cztery czy pięć widywaliśmy dosyć często jakąś panią. Przychodziła zawsze czarno ubrana i na twarzy miała gęstą zasłonę.

— Młoda była?

— Nie widziałem nigdy jej twarzy, ale z ruchów wydawała się być młodą.

— Jak zachowywał się względem niej pan Roveré.

— Odprowadzał ją z uszanowaniem aż na schody. Parę razy wyjeżdżał z nią powozem.

— Czem się zajmował dzień cały?

— W ostatnich czasach wychodził mało, bo czuł się słabym, ale dawniej codziennie udawał się na przechadzkę do lasku i po śniadaniu zamykał się w swojej bibliotece, gdzie pisał i czytał długo — potem znowu wychodził, ale wieczory spędzał zawsze w domu.

— Nie zdarzyło mu się nigdy powrócić o późnej godzinie — wtrąciła pani Moniche.

— Czy choroba pana Roveré była groźna?

— Wydawało się nam, że był bardziej chorym, niż sam chciał to przyznać. Kiedy powrócił raz z jakiegoś kąpielowego miejsca, zauważyli wszyscy w kamienicy, że był bardzo zmienionym. Od kilku miesięcy nie wychodził już wcale z pokoju i nie przyjmował nikogo oprócz swojego doktora. Spędzał dnie leżąc na kanapce, a moja żona czytała mu dzienniki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z tygodnia.

Sprawy polskie.

O pomoc Ameryki dla Polski. W sprawie toczącej się już od dłuższego czasu akcyi, mającej na celu dostarczenie z Ameryki żywności dla Polski, chicagowski „Dziennik Narodowy“ podaje następujące szczegóły:

„Po odmownych odpowiedziach mocarstw europejskich w sprawie Polski, akcya ratunkowa w Waszyngtonie na rzecz Polski zwolniała i przycichła. Bądź co bądź cenne, jako dokumenty historyczne, odpowiedzi te wywołały w Waszyngtonie liczne komentarze, ale na tem się też zakończyło. Kategoryczna odmowa mocarstw zniechęciła najżyczliwiej dla nas usposobionych Amerykanów, gdyż wysiłki ich okazały się zupełnie bezskutecznemi. To też dalsza akcya zamarła. Niepodobieństwem jest przeprowadzić naprzykład wniosek senatora Hitchcocka, który żądał wyasygnowania dla Polski dwóch milionów dolarów na rzecz ratunku narodu polskiego, gdyż pieniądze te wydane byłyby z kasy państwa Stanów Zjednoczonych tylko wówczas, gdyby można było zakupić za nie żywność i przesłać ją do Polski. — Wobec zaś niemożebności przesłania tej żywności, sam wniosek, aczkolwiek zyskał ogólne poparcie, jest na razie martwą literą.

Odpowiedzi senatorów Hitchcocka i Kerna brzmią beznadziejnie, aczkolwiek przebija z nich do nas sympatya i przychylność.

W liście swym atoli senator Kern jeszcze jedną wyraża nadzieję, że może mu się uda wpłynąć przez odpowiednie koła na prezydenta Wilsona, aby wydał on jeszcze jeden apel do społeczeństwa amerykańskiego w sprawie ratowania Polaków. Nie idzie tu już bowiem o dzień dzisiejszy, ale o zimę i następną wiosnę, w których to porach, zawsze ciężkich, wskutek przedłużającej się wojny nędza wzmoże się do ostatecznych granic i ratunek, chociażby pośredni tylko, jest wskazany. — Jednakowoż senator Kern nie zapewnia, czy krok taki podejmie, gdyż zależeć to będzie tylko od okoliczności i od tego, czy wogóle propozycya taka byłaby przez prezydenta przyjętą“.

Samorząd miejski w Królestwie Polskiem. Główne zasady samorządu w Kielcach, Lublinie, Piotrkowie i Radomiu zostały już opracowane. Opierają się one na naradach cywilnego komisaryatu z zastępcami tychże miast, oraz z sekcyami miejskiemi Centralnego komitetu ratunkowego, które odbyły się z końcem września w Lublinie, i reguluje przygotowanie i przeprowadzenie wyborów, ukonstytuowanie zarządów miejskich i magistratów, wreszcie sprawy zgromadzeń wyborczych. Listy wyborców, których wykończeniem zajmują się właśnie magistraty, będą zamknięte w połowie listopada i wyłożone publicznie. Co do wyborów z I. kuryi postanowiono, że z 10 względnie 12 radców miejskich, przynajmniej 5 musi być zastępcami najważniejszych zawodów, mianowicie: jeden duchowny, prawnik, lekarz, technik i nauczyciel, tak, aby każda Rada miejska miała do dyspozycyi potrzebne siły fachowe. W innych czterech kuryach następują wybory według systemu proporcyonalnego, podobnie jak przy wyborach miej skich w Warszawie. Terminy wyborów będą w ten sposób rozdzielone, że wybory w miastach będą przeprowadzone jeszcze przed Bożem Narodzeniem i nowe reprezentacye miejskie będą mogły z Nowym Rokiem rozpocząć swą działalność.

O przymus pracy w Warszawie. W poprzednim numerze zamieściliśmy rozporządzenie władz niemieckich w Warszawie, wprowadzające przymus robotniczy i wzywające Magistrat do współdziałania przy tej akcyi. Jak donoszą pisma warszawskie, Magistrat odmówił jednak żądaniu władz niemieckich, w kilka dni zaś później dyrektor policyi niemieckiej, Glasenapp, w sprawie przymusu robotniczego wydał następujący komunikat:

„W tych dniach wydane rozporządzenie, dotyczące zwalczania wstrętu do pracy, osiągnęło już ten dobry skutek, że w Centrali dla robotników w ostatnich dniach zgłosiło się więcej chętnych do pracy, aniżeli zgłaszało się przedtem. O ile i nadal tak będzie i chętni do pracy w dostatecznej liczbie zgłaszać się będą, w takim razie prawdopodobnie będzie można zaniechać zastosowania zapowiedzianych środków przymusowych w celu przeprowadzenia przymusu pracy w Warszawie. Leży więc bezwzględnie we własnym interesie zdolnych do pracy robotników, którzy do tej pory żadnej roboty nie przyjęli, aby takowi bezzwłocznie zgłosili się do Centrali, Plac Warecki 8, w celu przyjęcia roboty na bardziej korzystnych warunkach pracy. Przymusowa praca robotników w Niemczech jest tymczasowo nieprzewidziana.

Ludność Warszawy może z tego sama wnioskować o tem, że zależnem jest od robotników samych, czy będzie można chwilowo zaniechać przeprowadzenia przymusu.“

W sprawie tej zamieszcza znamienne uwagi warszawski „Kuryer Polski“: „Kiedy rozporządzenie o robotnikach — pisze — stało się wiadomem, mieliśmy uczucie, iż oto przychodzi władza obca i chce wyprowadzić z naszego zrujnowanego kraju przez wojnę najcenniejsze dobro, jakie nam jeszcze zostało, ręce robocze, naszą ludność, i to w chwili, gdyśmy marzyli, iż dane nam będzie służyć naszemu państwu. Pozbawieni rąk roboczych, pozbawieni ludności męskiej, tracimy wszelką wartość bojową, a ona podczas wojny o losach narodu rozstrzyga. Jasne jest zatem, iż społeczeństwo polskie nie mogło zająć względem rozporządzenia o robotach przymusowych innego stanowiska od tego, jakie zajęło. Rozporządzenie to jest dla nas nie do przyjęcia. Danie robotnika tak, jak danie wojska, musi zależeć oczywiście od naszego narodu, a nie tylko od rozporządzenia policyjnego“.

Stąd konkluzya: „Do narodu naszego trzeba się zwrócić o to, by dał niezajęte u siebie chwilowo ręce robocze. Musi być w tym względzie zawarty formalny układ. Społeczeństwo musi rozc ągnąć kontrolę nad tymi, którzy wyjeżdżają i musi nad nimi roztoczyć na obczyźnie opiekę. Musi ono mieć możność interwencyi, gdyby się okazało, iż skargi, co obecnie płyną, są słuszne. A co najważniejsze, społeczeństwo polskie musi się upewnić i zabezpieczyć, iż z chwilą, gdy zawierucha wojenna minie i ruszą do pracy chwilowo stojące warsztaty, to wtedy powrócą do nich emigranci z czasu wojny. Musimy się zabezpieczyć, by obecny wyjazd na roboty nie był wysiedleniem, ale tylko sezonowem wychodźctwem. Logiczność i słuszność tego stanowiska uznają niewątpliwie władze niemieckie. Trzeba tylko, aby zrozumiały je należycie“.

Wreszcie „Kuryer Polski“ kończy w powołaniu się na nowe obwieszczenie p. prezydenta policyi:

„Widzimy w tem dowód, iż władze niemieckie chcą się liczyć z naszemi życzeniami. Mamy też nadzieję, iż przyjmą one pod życzliwą rozwagę te postulaty, jakie w tej sprawie uchwaliła jednomyślnie Rada miejska“.

O swobodę prasy poznańskiej. W parlamencie niemieckim podczas dyskusyi nad cenzurą, poseł Seyda podniósł, że polskim dziennikom zakazano omawiać odrodzenie państwa polskiego. Polacy Niemiec — oświadczył — czują się integralną częścią wielkiego narodu polskiego i są zainteresowani w rozwiązaniu kwestyi polskiej. Polacy mają prawo żądać, żeby ich życzenia przy tem uwzględniono.

Zmiana nazw ulic w Warszawie. Rada miasta Warszawy na jednem z ostatnich posiedzeń uchwaliła przemianować szereg ulic, których nazwy były „pamiątką“ rządów rosyjskich. Mianowicie postanowiono następujące zmiany: ulicę Włodzimierską nazwać ulicą Tadeusza Czackiego, ulicę Kotzebuego — Fredry, ulicy Erywańskiej nadać nazwę Kredytowej, Kaliksta zmienić na Śniadeckiego, Teodora na Chałubińskiego, Leopoldyny na Emilii Platerówny, Aleksandrowskiej (na Pradze) na Floryańską, Nowo-Aleksandryjskiej (w Mokotowie) na Puławską, plac św. Aleksandra na Trzech Krzyży, Junkierskiej na Kozią.

Należy zaznaczyć, że nazwa ulicy Traugutta (dawniej hr. Berga), została przyjęta przez Radę miasta Warszawy już poprzednio.

Na widowni politycznej.

Wojna domowa w Grecyi. Jak donoszą z Salonik, na linii kolejowej Saloniki – Verria, batalion piechoty, maszerujący z Verria do Salonik, zaatakowany został przez wojska, które pozostały wierne rządowi w Atenach. Wywiązała się walka, w której kilku żołnierzy odniosło rany. Batalion wkońcu przebił się przez szeregi atakujących. Jest to pierwszy akt nieprzyjacielski między obu przeciwnemi grupami armii greckiej.

Pobór rekruta w Finlandyi. Jak donoszą ze Sztokholmu, w ostatnich dniach do różnych szwedzkich portów przybyły łodzie z uchodźcami z Finlandyi. Według „Aftenposten“ uciekają młodzi Finlandczycy, gdyż Rosyanie zaczynają Finlandczyków w wieku od 19 do 25 lat powoływać pod broń, rzekomo do robót w rowach strzeleckich na froncie wschodnim. W Finlandyi obawiają się, że jest to początkiem do wprowadzenia obowiązku powszechnej służby wojskowej. Uchodźcy podają, że strażowanie nad wybrzeżami w ostatnich czasach tak zaostrzono, iż miejscami nawet co sto metrów stoi posterunek strażniczy.

O poprawę losu jeńców. W parlamencie niemieckim toczyła się dyskusya nad sprawozdaniem komisyi o traktowaniu jeńców. Zgłoszono szereg rezolucyi, wśród nich rezolucyę, proszącą kanclerza, by za pośrednictwem Stolicy apostolskiej lub innych państw neutralnych starał się o zawarcie między wszystkiemi państwami wojującemi umowy, któraby istotnie poprawiła los jeńców wojennych, tak, iżby wszelkie zarządzenia represyjne mogły być usunięte. Wszyscy jeńcy cywilni bez różnicy wieku mieliby być wypuszczeni na wolność i mogliby wrócić do ojczyzny, po złożeniu obietnicy przez poszczególne państwa, że nie byliby włączeni w szeregi walczących.

Jak donosi „Lokal-Anzeiger“, między Niemcami i Rosyą podpisana została umowa co do wymiany wziętych do niewoli lekarzy. Według tej umowy, w niewoli pozostać ma jeden lekarz na 2.500 jeńców. Inni mają być wypuszczeni na wolność.

Proces o oszustwa wojskowe.

Toczący się w Krakowie proces o oszustwa wojskowe zakończył się w dniu 3. listopada. Wśród ogólnej uwagi i napięcia ogłoszono wyrok, na mocy którego zostali skazani: 1) Ludwik Uryga za dokonanie zbrodni z § 327 u. k. w. na czternaście lat ciężkiego więzienia z obostrzeniem, z wykluczeniem kwalifikacyi utrudnienia operacyi wojennych. 2) Piotr Jaskier za dokonanie zbrodni z § 327 u. k., z wykluczeniem kwalifikacyi utrudnienia operacyi wojennych, na szesnaście lat ciężkiego więzienia z obostrzeniem. 3) Franciszek Szymakowski za nieprzeszkodzenie i niewykrycie znanej mu zbrodni drugich z § 327 u. k. na dwa lata ciężkiego więzienia z § 330 u. k. w. 4) Roman Pudek za dokonanie zbrodni z § 327 u. k., z wykluczeniem kwalifikacyi utrudnienia operacyi wojennych na dziesięć lat ciężkiego więzienia, z obostrzeniem. 5) Wojciech Gawlik za nieprzeszkodzenie i niewykrycie znanej mu zbrodni drugich z § 327 na półtora roku ciężkiego więzienia z § 330 u. k. w. 6) Władysław Łazarski przy uwzględnieniu okoliczności łagodzącej osłabienia umysłu za zbrodnię dokonania z § 327 na ośm lat ciężkiego więzienia z obostrzeniem. 7) Alfred Goryczko za dokonanie zbrodni z § 327 na jedenaście lat ciężkiego więzienia z obostrzeniem. 8) Jan Goryczko za dokonanie zbrodni z § 327 u. k. na dziesięć lat ciężkiego więzienia z obostrzeniem. 9) Kazimierz Satalecki za występek z § 67 u. k. w. na jedenaście miesięcy aresztu i 4000 K grzywny. 10) Leon Leib Rieser za dokonanie zbrodni z § 327 u. k., z wykluczeniem znamienia utrudnienia operacyi wojennych, na dziewiętnaście lat ciężkiego więzienia z obostrzeniem. 11) Gerson Rieser za usiłowaną zbrodnię z § 327 u. k. przez namawianie Starkla na 3 lata ciężkiego więzienia. 12) Szymon Silberstein za dokonaną zbrodnię z § 327 u. k. na piętnaście lat ciężkiego więzienia. 13) Mejlech Winzelberg za dokonaną zbrodnię z § 327 u. k. na dziesięć lat ciężkiego więzienia. 14) Mojżesz Winzelberg został uwolniony od zbrodni z § 327 u. k., popełnionej przez meldunki. 15) Jeruchim Beck, false Günsberg. Co do niego uznał się sąd wojskowy niekompetentnym i odstąpił sprawę cywilnemu sądowi karnemu z powodu zatajenia pobytu Riesera. 16) Löbel Kleinmann za występek § 67 u. k. w. na dziesięć miesięcy aresztu i 4000 K grzywny. 17) Marya Rieserowa za usiłowaną zbrodnię z § 327 u. k. przez namawianie Starkla, na trzy lata ciężkiego więzienia. 18) Tadeusz Bieleś, za dokonaną zbrodnię z § 327 u. k. na trzy lata ciężkiego więzienia. 19) Aleksander Starkel za dokonaną zbrodnię z § 327 u. k. na cztery lata ciężkiego więzienia.

Najcięższe kary otrzymali ci, co do których był wniosek na karę śmierci za działanie na szkodę siły wojennej, to jest Leib Rieser, Uryga, Jaskier i Pudek. Silberstein, co do którego nie było wniosku w akcie oskarżenia na kwalifikacyę o uszkodzenie operacyi wojennych, został z tej grupy oskarżonych skazany na karę najcięższą, bo piętnaście lat.

Oskarżeni przyjęli wyrok spokojnie. Rieserowa i Starkel cicho płakali. Bieleś zaczął głośno lamentować.

Kalendarzyk.

Dnia 5. listopada. Proklamowanie niepodległego Królestwa Polskiego i ogłoszenie pisma cesarskiego o wyodrębnieniu Galicyi.

Kronika tygodniowa.

Spełniło się nareszcie to, na co czekaliśmy od początku wojny. Mocarstwa centralne uznały konieczność odbudowania niezależnej Polski, która ma i nadal pełnić rolę przedmurza, chroniącego Europę od naporu Wschodu i wydały w tym celu proklamacyę, w niedzielę ogłoszono ją urzędowo, a naród polski przyjął ją z żywą radością, że przecież spełnią się jego marzenia, które zdawały się być już pogrzebane na wieki. Za nasze wysiłki i nasze cierpienia, za ofiary z krwi i mienia, jakie złożyliśmy, zwłaszcza w ostatniej dobie, na ołtarzu ogólnego dobra, nagroda to zasłużona, w każdym zaś razie nie *gratia gratis data*.

Z obowiązku kronikarskiego wspominam o tem, choć sprawą tą na innem miejscu zajmuje się wymowniejsze pióro, chcę przecież zaznaczyć swą radość, że wkońcu doczekała się świeczka odpustu i że nasze wysiłki nie poszły na marne. Pragnęlibyśmy może więcej, i słusznie powinnoby nam się to należeć, miejmy jednak cierpliwość i bądźmy zadowoleni, że bodaj tyle mamy na początek, bo, sądzę, dalszy ciąg prędzej czy później musi nastąpić.

Niema więc złego, aby na dobre nie wyszło. Jeśli będziemy mieć Ojczyznę wolną, zawdzięczyć to musimy tylko toczącej się obecnie wojnie, na którą słusznie narzekaliśmy, że nam się tak dała we znaki. Ale zapomnimy jej to, niech tylko spełnią się nasze nadzieje i pragnienia!

A teraz do właściwego materyału kronikarskiego.

Zacznę, rzecz prosta od futer damskich, którym już w poprzedniej kronice poświęciłem wiele miejsca i tem ściągnąłem na swą głowę tyle gromów, że odtąd będę musiał nosić na kapeluszu chyba konduktora (ale nie żywego!), by się uchronić od nieszczęścia. Każda z dam, która łabędzią swą szyjkę okręca „dusicielem“, patrzy na mnie, niczem piorun na biedną żabę, wygrzewającą się na liściu łopuchowym nad brzegiem wonnej Rudawy. Jedna z nich (naturalnie z pań, nie z żab!...) zrobiła mi nawet małą awanturkę, jak śmiałem poruszać tak niewdzięczny temat, odpowiedziałem jej, że z obowiązku kronikarskiego. To jej przecież nie wzruszyło, zaczęła mnie przekonywać, że nie mam serca, gdyż kobieta w dekoltowanym staniku (robią to panie tylko z oszczędności, by na suknię wyszło jak najmniej materyału!...), pozbawiona futrzanego okrycia na szyję, łatwo bardzo może się narazić na zaziębienie.

— A sam pan niedawno poruszył tą kwestyę — kończyła — że teraz chorować się nie powinno, bo to i niezdrowo i zbyt wiele kosztuje.

— Tak, to prawda! — przyznałem. — Proszę jednak pamiętać, że autor listu, omawiając kwestyę owej rekwizycyi, dodał wyraźnie, iż każda z niewiast, która odda swe futro, otrzyma za to pamiątkowy a ciepły szalik, którym będzie mogła zupełnie tak samo owiązać swą szyję...

— Panie! — krzyknęła z taką boleścią, jakby nie przymierzając siadła nieopatrznie na szpilce, wbitej w krzesło ostrzem do góry — Jakbym ja wyglądała w szaliku?!

— Tak, łaskawa pani, jak nasze matki i babki, po których odziedziczyłyście, zacne panie, tyle pięknych cnót i przymiotów!

— Więc ja już wyglądam tak staro?... Tego się po panu nie spodziewałam! Od kwartału przestaję być abonentką *Nowości illustrowanych!*

Wydęła pogardliwie wargi i odwróciła się ku mnie odwrotną stroną medalu, wobec czego zrozumiałem, że rozmowa skończona.

Druga niewiasta zainterpelowała mnie też w tej samej kwestyi, dowodząc, że autor listu nie miał zupełnie słuszności, narzekając, iż właśnie teraz, gdy o sukno tak trzeba walczyć, noszą panie spodnice o kilometrowym obwodzie. Są one szerokie, to prawda, ale zato o wiele krótsze i, jak się to już wyżej powiedziało, wydekoltowane, co się więc oszczędziło od góry i z dołu, to obróciło się na powiększenie obwodu, nie było więc powodu do narzekań.

— Chyba, że list ów pisał stary kawaler! — dodała z uśmiechem — Wiadomo zaś, że ci panowie cierpią prawie wszyscy na katar żołądkowy i są z tego powodu zgryźliwi!

— Nie! List ów pisał człowiek żonaty...

— Nie uwierzę, póki go nie zobaczę. Proszę mi go pokazać!

— Na razie nie mogę, zresztą jest to tajemnica redakcyjna, której mi zdradzić nie wolno!

— A gdybym pana poprosiła, ale tak ładnie, jak ja to umiem!

— I to na nic się nie zda! Pod tym względem mam stałe, niczem niewzruszone zasady, jak ów ś. p. Katon, o którym musiała łaskawa pani słyszeć, lub czytać...

— Przypominam sobie! Zdaje mi się, że był to także stary kawaler i wróg kobiet... A za takiego pana nie uważam!

— Dziękuję serdecznie za słowa uznania! W każdym razie zastrzegam się, że za treść owego listu odpowiedzialności nie przyjmuję, co najwyżej za ową garść uwag, dodanych do niego.

— Tak! Wylał pan w nich dość żółci!

— I to mi ulżyło, jak bowiem wyraźnie zaznaczyłem, z wywodami autora listu godzę się zupełnie...

Z kolei rzeczy przechodzę teraz do kuchni wojennych, urządzonych przez gminę miasta Krakowa dla dogodzenia żołądkom głodnej intelligencyi. Orędzie do narodu, wydane w tej kwestyi przez pana prezydenta i jego trzech zastępców, czytał zapewne każdy z Czytelników, nie będę go więc powtarzał, zaznaczę tylko, iż najbardziej mi się podobało jego zakończenie, wzywające obywateli, mieszkających w tych dzielnicach, w których kuchni jeszcze nie otwarto, by się na razie obchodzili smakiem i czekali cierpliwie, nie robiąc ścisku w puszczonych już w ruch jadłodajniach.

Do tej kategoryi i ja należę, nie posłuchałem przecież wezwania i podążyłem na uroczystość otwarcia pierwszej kuchni w dawnym refektarzu klasztoru Franciszkanów. Inauguracyjny obiadek, aczkolwiek był to dzień beztłuszczowy, bo sobota, po wysłuchaniu kilku mówek smakował mi doskonale. Rosół z ryżem, to teraz prawdziwy zbytek, mięso rosołowe z ćwikłą i ziemniakami tak co do ilości, jak i co do jakości nie pozostawiało nic do życzenia. Jak za koronę, objadłem się należycie. Wieczór tego dnia był bigos hultajski z ziemniakami, na drugi dzień baranina, potem kiełbasa wyborcza z sosem i t. d.

Ale, powiada przysłowie, że ten się jeszcze nie urodził, ktoby wszystkim dogodził. Są zwolennicy kuchni wojennych, chwalący je bez zastrzeżeń, są tacy, którzy robią pewne zastrzeżenia, są jednak i hipochondrycy, zupełnie z nich niezadowoleni. Jeden z tych ostatnich, spotkawszy mnie niedawno na Rynku, zapytał:

— Pan kronikarz już nie chodzi do wojennej kuchni?

— Nie! — odpowiedziałem lakonicznie, nie mając bynajmniej zamiaru wdawać się z nim w pogawędkę.

On jednak nie dał za wygraną. Złapał mnie za guzik od paltota, bym mu nie uciekł i ciągnął dalej:

— Zapewne nie smakowało?

— Owszem! Smakowało mi wszystko, ale kto ma w domu żonę i dzieci, ten z konieczności musi z nimi jeść obiady. Jeśli tam raz, czy dwa zaszedłem, to tylko dlatego, by wszystko widzieć na swoje własne oczy i potem módz o tem coś napisać...

— No i naturalnie zbeszta ich pan należycie, jak na to zasługują...

— Ani myślę!... Z jedzenia byłem zupełnie zadowolony!

— Ja zaś nie! Porcye małe, tłuszczu niewiele...

— A cóż pan chciał mieć za koronę? Bądź pan kontent, że tyle dają!

— Nie! Nie będę kontent! Czy to nie grzech, o pomstę do nieba wołający? W bigosie za siedmdziesiąt halerzy tylko pięć kawałków mięsa i trzy kawałki wędzonki?... Sam liczyłem dokładnie.

— Ja jestem zdania, że to zupełnie dosyć!

— Jeśli pan jesteś tego zdania, to nie mam co z panem mówić! Już pana przeciągnięto na stronę magistracką! Jakąż obiecali synekurkę, za to chwalenie? Hę?...

Chciałem mu ze złości pokazać język, ale miałem właśnie gorączkę i był nieco obłożony, bałem się więc, by nie skorzystał ze sposobności i nie powiedział, że to z magistrackiego wiktu, chcąc się przecież na nim zemścić za to niesłuszne podejrzenie, jakie na mnie rzucił, powiadam:

— Ma pan może i słuszność, są bowiem restauracye, gdzie za koronę, można dostać kieliszek wódki, kanapkę, obiad z trzech dań, w tem dwa mięsa, cygaro, czarną kawę i szklankę piwa lub kieliszek wina.

— Gdzież to? Gdzież?... — przerwał mi skwapliwie.

— Nie wiem! Gdybym wiedział, sam poszedłbym tam z całą rodziną. Mogę panu łaskawemu jednak dać radę przyjacielską, jeśli pan chce jeść tanio, a dobrze.

— No?... — i cały zamienił się w ucho.

— Niechaj pan chodzi na proszone obiady!

Poznał, że zeń kpię i uśmiechnął się gorzko, a ja wtedy, by go już dobić, pokazuję mu dwa zaproszenia na obiad, jakie od Szanownych Czytelniczek otrzymałem. Jedno z nich pochodzi aż z Preszburga, drugie z okolic Oświęcimia.

Galicyjskie zaproszenie więcej mi przemawia do serca i żołądka. — Autorka listu powiada bowiem: „Odwiedziwszy mnie, przekona się Pan, że tak samo, jak w urzędowaniu, jestem równie dzielną w sporządzaniu obiadów, co mój mąż z całą sumiennością poświadczyć może. Obiadek *non plus ultra,* taki przedwojenny obiadek oczekuje Pana, jeśli Pan nas tu odwiedzi“.

Czytając list, a obecnie przepisując jego treść, oblizuję się ciągiem i tylko ślinkę łykam. Adres podany zupełnie dokładnie, kto więc wie, czy z zaproszenia kiedyś nie skorzystam.

Drugi list z Preszburga, bez wyraźnego adresu, zapraszający na obiad na najbliższą niedzielę (niestety, już minęła!) opowiada wprawdzie o bifsztyku z wołu węgierskiego, a nie morskiego (bo to niedziela, więc dzień poświęcony obżarstwu i pijaństwu...), dodaje jednak dla odstraszenia gościa, że piwnica jest dość wilgotną, „jak to już zdradza, że na Dunajowej ulicy mieszkamy“ więc wody podostatkiem w piwnicy, a dotychczas wolno jej *ad libitum* używać bez kartek.

Z owego zaproszenia, choćbym nawet chciał, skorzystać nie mogę, pomijając już bowiem okoliczność, że Szan. Abonentka z Preszburga (tak się podpisała) nie podała wyraźnego i dokładnego adresu, a trudno, bym, przyjechawszy na miejsce, dopytywał się dopiero, kto w mieście prenumeruje *Nowości illustrowane,* wody, zwłaszcza rzecznej, pod żadną postacią nie znoszę i na sam jej widok dostaję napadu morskiej choroby. Zresztą dla jednego obiadu, choćby był nawet i najsmaczniejszy, nie opłaci się narażać na trudy i niewygody tak dalekiej podróży, do tego w zimie i w słabo opalonym wagonie. Wątpię zresztą, czy zacna Weronika dałaby na to swoje *placet*.

Równocześnie z owemi zaproszeniami otrzymałem także i list z placu boju, mianowicie z południowo-zachodniego frontu, z pod Dolomitów. Treścią jego jęk żałosny po zgonie „*Kuryerka*“. Mogę jednak Szan. Autora pocieszyć, słowami Pisma św.: „Maluczko, a ujrzycie go“... albowiem rychło już ukończą się dni jego pokuty i przebaczone mu będą winy jego!

Tak mnie przynajmniej zapewniano, a ja wierzę każdemu, choć nie zawsze na tem dobrze wychodzę!

Natomiast kto wie, czy nie kopnę się na kilka dni do Ameryki, aby się na miejscu przypatrzyć, w jaki sposób odbywają się wybory prezydenta Stanów Zjednoczonych i spróbować kiełbasy wyborczej. Niestety, o godność tę ubiegać się nie mogę; by ją osiągnąć, trzeba bowiem być urodzonym w Ameryce. A szkoda! Pan prezydent pobiera rocznie pięćdziesiąt tysięcy dolarów pensyi, dwadzieścia pięć tysięcy na podróże (gdyby jeździł za dyetami, nigdyby go nie było — tak siedzi w domu!) i wolne mieszkanie, nie ma jednak żadnego zaopatrzenia na starość, ani honorowej emerytury.

Walka wyborcza ma się odbyć między panem Wilsonem, dotychczasowym prezydentem, a niejakim Hughesem, który jest podobno bardzo poważnym kontrkandydatem, więc kto wie, czy neutralny pan Wilson wyjdzie ponownie z urny. Właściwy wybór odbędzie się dopiero w lutym 1917, do tego czasu może skończy się wojna, przestaną grasować po morzu łodzie podwodne, a podróż będzie bezpieczniejszą.

A miałbym ogromną ochotę skosztować amerykańskiej kiełbasy wyborczej, bo nasza, galicyjska, już mi się przejadła.

Rozgadałem się, niczem moja Weronika i teraz dopiero widzę, że na poruszenie politycznych kwestyi mało miejsca zostało. A chciałem w pierwszym rzędzie wspomnieć o przemowie cara, który, przyjmując w głównej kwaterze japońskiego księcia, kuzyna blizkiego jegomościa mikada, ogromnie mu kadził i wspomniał w toaście, że zawsze był z podziwem dla „męstwa armii japońskiej i cnót jej floty“. Temu się bynajmniej nie dziwię, nie tak to bowiem dawno, jak męstwo Japończyków odczuł na swej własnej skórze. Momenty zaś tego rodzaju pamięta się zwykle długo, choć się o nich niechętnie wspomina. Ale trudno, czasem polityka każe mówić inaczej, niż się myśli i tutaj tak się właśnie stało *ad majorem gloriam* koalicyi. Tak sobie życzy Londyn i Paryż, Petersburg musi robić, jak każą, bo inaczej zamkną przyjaciele kieszeń, a wiadomo, że do prowadzenia wojny potrzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy.

I Grecyi wartoby poświęcić słów kilkoro, aby zillustrować dokładnie „błogosławioną“ działalność koalicyi, która swemi podstępnemi machinacyami doprowadziła do wybuchu domowej wojny w nieszczęśliwym kraju. Ale kto wie, czy jej to wyjdzie na dobre, sama będzie musiała wypić piwo, które nawarzyła... A nie bardzo ono smaczne, a tem mniej zdrowe!

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka.
Ułożył E. Winter, Tarnów.

W miejsce kresek wstawić odpowiednie litery, a otrzymamy bardzo aktualne obecnie rozwiązanie

B – r
O - a
g – a
P – l
E - a
N – l
I – a
w – r
a - h
T - r
y - n

Zadanie do uzupełnienia.
Ułożył E. Winter, Tarnów

W miejsce kresek wstawić odpowiednie spółgłoski, aby powstały dwa znane polskie przysłowia:

1) -a--o-e-a--a--ó-y-a
2) -o--o---o--u---oi--o--u

Logogryf.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwiska dwu polskich poetów.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2 Małpa 3 Rosyjski urzędnik 4 Rodzaj pisma. 5. Forma rządu 6 Jamochłon. 7. Wąż jadowity. 8 Wehikuł. 9 Morski małż. 10 Chrząszcz. 11. Rozmowa.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Nie! Wół skarbi cześć brata Nena.

Trójkąt magiczny.
Ułożył A. Tarnowski, Zakopane.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę rzeki we Francyi.

□ □ □ □ □
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz. 2. Kalif 3 Każdy to z przyjemnością przyjmie. 4 Miara powierzchni 5 Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Boski As rzucał sobie sroki z czekoladą pod ławkę.

Grzebieniówka.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwę jednej ze stolic europejskich

□ □ □ □ □ □ □ □ □
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —
—   —   —   —   —

Znaczenie wyrazów: 1 Ptak nocny. 2 Instrument muzyczny. 3. Bogini grecka 4 Płyn. 5 Część mieszkania.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Sułtanik da dwa chore konie.

Kwadrat magiczny.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a b
b c e e
e g g h
h i r r

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Czechach 2 Stolica europejska 3. Miasto w Czechach. 4. Miasto we Włoszech

Szarada.
Ułożyła Mery, Nowy Sącz

Wprost, mną ludzie w piecach palą,
Wstecz, to tylko robią nogi,
Krótkie słowo, a więc łatwo
Odgadniesz mnie, panie drogi!

Bilety wizytowe.
Ułożył Z Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

DOMINIK I ZYTER

DAMAZY N. R LARNOW

OLIZAR CZ. D. SOPATA

DOROTA IZA Ł. RESI-MISIS

AG. P. ŁOSZUCKA

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 44.

Logogryf:

Tara
Eros
Rosa
Emir
Sowa
Azya
Jota
Azot
Dzik
Waza
Igor
Gama
Azor

Równanie:
Aldebaran + Kasyopeja + Andromeda + Lannes = Alkamenes

Trójkąt magiczny:

M a t e j k o
A l b e r t
T a t a r
E t n a
J a n
K u
O

Zadanie do przestawienia: Nieproszonych kijem wynoszą.

Szarada: Konfitury.

Logogryf:

O r t e g a l
d y a m e n t
p o m i d o r
s z a l u p a
s z p i n a k
A n t a r e s
K e p p l e r
P o l l u k s
p a d a l e c
S m e t a n a
Ś n i e ż k a
m i g r e n a

Przysłowiówka: Kogo nie piecze, temu nie ucieczе.

Kwadrat magiczny:

D i a k
i k r a
a r a s
k a s a

Zadanie do przestawienia: Nie przyszła góra do Mahometa, więc Mahomet poszedł do góry.

Bilety wizytowe: Krupier. Masztalerz. Pamiętnikarz. Pomocnik maszynisty. Germanista.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Kosiński Zakopane, M. Wyka Kraków, D. Ligęza Kraków, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, F. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzostowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń, J. Lisowski Oświęcim, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń, S. Skowroński Wiedeń, J. Jahoda Cieszyn, T. Biliński Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, M. Wiśniewska Lwów, S. Bednarski Przemyśl, S. Jaśkiewicz Wiedeń, L Kozubski Wiedeń, M. Wisłocka Tarnów, L. Serkowski Rzeszów, K. Doliński Kraków, S Zabłocki Lwów, F. Nemo Olkusz, Z. Szymanek Kraków, T Rusecki Wieliczka.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **B. Zbigniewicz Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Wystawa gwiazdkowa Ligi Pomocy przemysłowej odbędzie się jak zwykle począwszy od 1 grudnia b r.

Zainteresowanie społeczeństwa tutejszego, oraz licznych przejezdnych Stałą Wystawą wyrobów przemysłu krajowego daje pełną rękojmię, że Wystawa Gwiazdkowa uda się doskonale, tem więcej, że w społeczeństwie szerzy się coraz więcej zrozumienie konieczności popierania polskiego przemysłu.

Liga Pomocy przemysłowej zwraca się na tej drodze do wszystkich, którzy produkują stosowne na upominki gwiazdkowe przedmioty, by zechcieli jak najrychlej zgłaszać udział w Wystawie pod adresem Filii Ligi Pomocy przemysłowej Kraków, Straszewskiego L. 8. i nadesłać wzory wraz z podaniem cen.

W zrozumieniu trudnych warunków Liga nie będzie pobierać opłat za miejsce na Wystawie, obliczać będzie tylko należytości komisowe przy sprzedaży przedmiotów na częściowe pokrycie kosztów.

KSIĘGA PAMIĄTKOWA WIELKIEJ WOJNY!

Dzieło to, wydane pod skromną nazwą **Kalendarza „Nowości Illustrowanych" na rok 1916,** zawiera **illustrowany zbiór dokumentów obecnej wojny i jej dziejów na ziemiach Polski.** Oprócz opracowanej systematycznie historyi wydarzeń wojennych (wraz z chronologią), poszczególne działy „Kalendarza" dają tak w opisach, jak i w fotografiach, wyczerpujący **obraz zniszczenia w Polsce, polskiego tułactwa wojennego i działalności bojowej Legionów.**

Już tylko niewielka liczba egzemplarzy tego pamiątkowego wydawnictwa, które powinno znaleźć się w każdym domu polskim, jest do nabycia w Administracyi „Nowości Illustrowanych" po cenie:

2 kor. za egzemplarz oprawny i **3 kor.** za egzemplarz w płóciennej, ozdobnej oprawie.

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) Telefon Nr. 381.

Miód

zastępuje drogie masło. Bańka pocztowa 5 kg. 10 K. Wysyłka za pobraniem Cenniki niemieckie lub czeskie wysyła **Fr. Wenzel, Baumschütz Ołomuniec 70.**

Potrzebny uczeń

do

drukarni i kliszarni

Nowości Illustrowanych.

KINO-WANDA

przy ulicy św. Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Branzoletka z zegarkiem i szkłem ochronnem

kor. 6·—



kor. 12·—

Branzoletka z zegarkiem i rzemykami, duży format, K 6·—. Radiowy K 10·—. Branzoletka z zegarkiem, mały format K 10·—, 12·—, radiowy K 15·—, 18·—, z precyzyjnym werkiem Anker K 24·—, marki Cyma K 30·—, Omega K 50·—. radiowy K 10·— i więcej. Szkło ochronne K 2·— i więcej. Wojenny zegarek z dobrym werkiem Anker kor. 6·—. I. jakości K 10·—, prawdziwy srebrny K 20·—. Budzik kieszonkowy K 24·—, radiowy K 32.—. Odpowiednie skórzane rzemyki na rękę K 2·— i więcej. Wojenny budzik niklowany 30 cm, wysoki K 8·—, 3-letnia gwarancya. Wysyłka tylko za poprzedniem nadesłaniem należytości i 1·— K na opakowanie i porto opłacone do całych Austro-Węgier i w pole wysyła **I-szy skład zegarków wojennych**

Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62.

Oryginalny cennik fabryczny darmo.

Każdy jest tem zachwycony!

Kieszonkowe kino!

Aparat z 50 filmami, nie mający nic wspólnego z ordynarnemi, brzydkiemi wyrobami blaszanemi, w gustownej kasecie **tylko 1·95 K.** Osobna serya filmowa 1 K. W krótkiem czasie **pół miliona** sprzedano. Za nadesłaniem należytości i 70 hal. na porto i opakowanie. Za pobraniem 50 hal. więcej.

T. R. Bergmann,

Wiedeń V/2, Kohlgasse 46/III.

Kinematograf z ręcznym obrotem, lampą etc. K. 11·—, 14·—, 18·—, 20·—, 28·—. Odpowiednie filmy K. 1·—, 2·—, 3·— i więcej według długości Odsprzedającym odpowiedni rabat.

8 halerzy



kosztuje karta korespondencyjna, zapomocą której zamawiać można mój główny katalog który na żądanie bezpłatnie wysyła: **Pierwsza fabryka zegarków**

Hanns Konrad

c. i k. nadw. dostawca w Brüx Nr. 1569 Czechy

Niklowy albo stalowy zegarek Anker Kor. 6—, 7—, 8—, ze szwajcarskim werkiem K. 7·—, 8·—, 9·—. Pamiątkowe zegarki niklowe lub stalowe Kor. 11·—, 12·—. Wojskowe zegarki z radium niklowe albo stalowe Kor. 12·—. Masiwne srebrne zegarki „Roskopf" K 19·—, 20·—. Budziki ścienne i stojące w wielkim wyborze po bardzo nizkich cenach. Na każdy zegarek 3 letnia gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Bez ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniędzy!

Kupuję i sprzedaję

złoto, srebro, brylanty

płacąc najwyższą cenę. Zakład zegarmistrzowski i jubilerski

Józef Cyankiewicz, Kraków, Sławkowska 24, dom XX. Emerytów

Klisze cynkowe i fotografie

z każdego numeru odsprzedaje

Administracya Nowości Illustrowanych



Pewny skutek. Tysięczne listy z podziękowaniami każdej chwili do przejrzenia. **Jędrny piękny biust** otrzyma się przez użycie **Dra med. A. Rixa kremu na biust.** Urzęd. stwierdzony jako nieszkodliwy, dla każdego wieku szybko i **pewnie działający.** Do użycia zewnętrznie. Jedyny krem na rozwój biustu, który z powodu nadzwyczajnego działania wprowadzony został do aptek, nadw. drogueryi etc. Próbna doza K 3·30, wielka doza, wystarczająca dla skutku K 8·80. Wysyłka pod ścisłą dyskrecyą Dra **A. Rixa** kosm.-labor **Wiedeń IX, Lakierg. 6/F.** Składy w Krakowie: Apteka Wiszniewskiego, ul. Floryańska 15; Reim i Ska, Rynek gł. 37. Droguerya Komorowskiego, Floryańska 33. Perfumerya pod „Kometą". K. Miklaszewski, plac Dominikański. **We Lwowie** do nabycia: S. Rucker, apteka pod „Srebrnym orłem" ul. Krakowska 1, Perfumerya Sładowskiego. Bielsko: droguerya Polaczka, Kolejowa. Kołomyja: apteka Lopotka, ul. Jagiellońska. Tarnów: droguerya Bracha. W Cieszynie: Schw. Hunddrog. i Anckerdrog.

WYROBY KRAJOWE

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBÓR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej. **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby **skórzane** Wielki wybór **torebek** damskich.	Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

Jedyny w Przemyślu który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia" **JAN SMYK**

Przeprowadza ekshumacye i transport zwłok z każdej miejscowości. Wyjaśnień udziela się chętnie.

Przemyśl, Rynek L. 16

DRUKARNIA

D. E. FRIEDLEINA W KRAKOWIE

ULICA KAZIMIERZA WIELKIEGO 95 — TELEFON 479

zaopatrzona jest w wielką ilość czcionek różnego kroju i maszyny pospieszne. Wykonywa wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące: broszury, cenniki, katalogi, cyrkularze, afisze, zaproszenia ślubne, tabele itp. szybko, starannie, po cenach umiarkowanych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madajskiego